

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 7 (49)

Jerozolima, 1 maja 1945 r.

Rok III

JOZEF NOWAK

„TRZY STANY — A JEDEN SZLACHCIC”

„Po co?” — Ież to razy owo gorzkie pytanie padało w czasie gorzkich rozmów emigracyjnych. Po cóż było walczyć w niepodległej Polsce o poszerzenie Ojczyzny w głąb przez wolność i demokrację? Jaką wartość mają nasze osiągnięcia ustrojowo-polityczne i społeczne — wobec jednego faktu, który zagroził nad naszym życiem po latach niepodległości tak, jak przez lat z górą 120 przytaczał życie narodu? Czyż nie były one cackiem kruchym między dwoma młynskimi kamieniami militarystów obcych, domkiem z kart w dziejowym przeciągu dynamizmów totalitarnych, samozłuda wobec twardych wygórowanych rzeczywistości?

Pytania te nie są nowe i nie nowe zawarte w nich zagadnienia. Odziedziczyliśmy je wraz z brzemieniem naszej pozycji geograficznej, która przerastając w pozycję cywilizacyjną sięgała granic ideologii. I dlatego też odpowiedzi — zarówno negatywne, zawarte w samym pytaniu, jak i te pozytywne, podyktowane nadzieją i wolą walki — dziś jeszcze obracają się w szrankach ujęć i programów, znanych nam z podręczników historii.

Odpowiedź najprostszą — i jakże postawie duchowej Narodu właściwą — rzucił lat temu 160 Staszic: „Czyliż tak ginąć myślisz, aby się nic więcej po tobie nie zostało, tylko niesława?” Hasło samobójcze? Nie — nie przecucie kłeski, lecz wyzwanie kłesce i jej głosieliom rzucone. Frazes romantyczny? Możliwe. Ale w tych dumnych słowach, które przetrwały się w poryw Wielkiego Sejmu, zawarta jest treść ideowa przyszłych pokoleń — tych, które wraz z Mickiewiczem poniosły sztandar Trzeciego Maja jako polityczny testament Polski Wolności. Konstytucja Trzeciego Maja — konstytucja państwa, stała się sztandarem narodu bezpaństwowego — legitymacją zdolności do życia niepodległego, zdolności do rozwoju politycznego w zmieniających się warunkach społecznych i gospodarczych środowiska europejskiego. Mickiewicz i te pokolenia, które z niego żyły, widziały w Konstytucji Trzeciego Maja coś więcej, niż tylko sztandar, bo prawo żywe — zakorzenione w przeszłości, lecz zmierzające w przyszłość zawartym w sobie elementem rozwoju i właśnie dlatego żyjące w dążeniach narodu.

EWOLUCJA SPOŁECZNA

Czymże istotnie była Konstytucja Trzeciego Maja, a raczej cały kompleks osiągnięć ustrojowych, jaki obejmujemy tą zbiorową nazwą? Czy „rewolucja”, jak z dumą ją zwali patrioci, z nienawiścią — „patrioci” z nominacji imperatorowej, a z dużą obawą zagraniczni protektorowie i gwaranci „wolności” polskiej? Była nią chyba tylko na tle dziejów Polski, tak ubogich w epizody rewolucyjne. Była nią przede wszystkim w świadomości współczesnych — od ludzi „Kuznicy” Kollataja, którzy w niej widzieli zerwanie z bezpośrednią przeszłością, aż po Rzewuskich i Szczepnych Potockich, dla których oznaczała więcej, niż zerwanie ciągłości dziejowej, bo zaprzeczenie samej — w ich ujęciu — racji ideologicznej istnienia Polski. Ale dziś trudno się doszukać w dziejach jej realizacji — od „czarnej procesji” mieszczaństwa, co widmem Sieyes'ów zamajaczyła magnaterii, aż po sam burzliwy dzień, z którym związane jest imię konstytucji. I rewolucyjną nie była jej treść społeczna — jak we współczesnej konstytucji francuskiej z 3 września 1791, nie ustrojowa, jak w konstytucji USA z r. 1787. Właśnie brak elementu rewolucyjnego w reformie polskiej dawał jej uznanie zarówno wielkiego Burke, jak i konstytucjonalistów francuskich — St. Clermont, czy Mallet du Pan.

Trzeci Maj nie zmienił społecznych podstaw Polski. Polska pozostała państwem stanowym. Przeciwnie komentarz Jezierskiego do ustroju Rzeczypospolitej szlacheckiej — „Król, senat i rycerstwo — trzy stany a jeden szlachcic” — znalazł wyraz w zasadniczych artykułach nowej konstytucji. Ale zmieniła się oblicze tej szlachty. W wieku XVI szlachta jako główny producent bogactw narodowych chciała usunąć możnowładztwo z jego pozycji politycznych przez rozszerzenie uprawnień politycznych przez reprezentację stanową.

Do w. XVIII Polska, nie zmieniając swych form ustrojowych egalitarnej Rzplitej szlacheckiej, przeszła proces feudalizacji, hierarchizacji gospodarczej i politycznej w łonie samego stanu, będącego formalnym nosicielem władzy. Nowa więc, antymagnacka „egzekucja

praw” ludu szlacheckiego, reakcja antyfeodalna, jak to wyraźnie podkreślał Wybicki, musiała przybrać postać nie rozszerzenia, lecz zwężenia podstaw reprezentacji stanowej przez odciecie od niej elementów gospodarczo zależnych, na których bazował się nowy feudalizm magnacki, przez ograniczenie jej do elementów zdolnych do samodzielnej decyzji politycznej. Stąd ów pozorny paradoks, że konstytucja wyrosła z podmuchów rewolucji amerykańskiej i francuskiej, zaczęła nie od rozszerzenia praw politycznych, lecz właśnie od faktycznego wywłaszczenia z nich pewnej części narodu.

Ale mamy w konstytucji i proces odwrotny, — otwiera ona wrota stanu szlacheckiego

inicjatywa mogła i musiała wyjść z szeregu szlachty i możnowładztwa. Kiedy na uroczystym obiedzie 8 maja 1791 poseł sandomierski, Karski, wznosi zdrowie „braci naszej, dostojnego stanu miejskiego”, kiedy magnaci zapisują się do prawa miejskiego — nie jest to czczy gest, lecz wyraz powstawania nowej warstwy rządzącej, jednoczącej w swych szeregach wszystkie elementy inicjatywy politycznej, gospodarczej i kulturalnej, warstwy, do której dostęp otwierało już nie tylko urodzenie, ale majątek, zawód i wykształcenie.

Był to początek procesu, jaki znalazł pełne rozwinięcie w rewolucyjnych konstytucjach Ameryki i Francji. W tych warunkach

francuski przechodził do porządku dziennego nad zrozumiałym w szlachecko-mieszczańskie konstytucji polskiej przemilczeniem masy chłopskiej.

Niewątpliwie deklaracyjny charakter słynnego art. IV Konstytucji, zapewniającego chłopu „opiekę prawa”, krył w sobie duże możliwości ustawodawcze. Ale tylko możliwości. Wystarczy porównać wystąpienie oratorów sejmowych w sprawach miast i w sprawie chłopskiej, by zrozumieć zasadniczą różnicę w ich traktowaniu. Jeśli w sprawie miast decydowała potrzeba zasilenia i zespolenia oddziałów inicjatywy gospodarczej i społecznej, to w sprawie chłopów — coraz silniej odczuwana potrzeba zmiany systemu eksploatacji i gospodarki rolnej, zwiększenia wydajności pracy chłopskiej, rozszerzenia rynku wewnętrznego dla miast jako konsumentów produkcji rolnej. Dlatego mylili się chłopci w Rębkowie (Ziemia Czerska), którzy pańszczyznę odmawiali „francuską czynnością chępiąc się” w imię Trzeciego Maja, — praktyczną wykładnią czwartego artykułu Konstytucji bywały nieraz ekspedycje karne kawalerii narodowej i Uniwersał Stanisława Augusta z 2 sierpnia 1791, odzignęły się od wszelkiej myśli radykalnej reformy rolnej, niezależnie od indywidualnej inicjatywy społecznej wielu obywateli, samorzutnie zmieniających system pańszczyzniany w duchu polepszenia doli chłopów.

Rzecz ciekawa, że i ludzie Targowicy nie odrzucali ryczałtem wszystkich osiągnięć społecznych Trzeciego Maja. Między praktycznymi inicjatorami reformy systemu pańszczyznianego widzimy nie tylko Arystydesów Sejmu Wielkiego, ale np. i Szczepnego Potockiego — hetmana Targowicy. I właśnie jej nieudany „Rejtan”, Jan Suchorzewski, poseł kaliski, jeden bodaj z pierwszych o chłopach się jeszcze w r. 1788 upomina i potem „Prawo o miastach” do łaski wnosi. Nawet po swym zwycięstwie Targowica nie zdołała całkowicie zniszczyć tego dorobku. Linia podziału przechodziła gdzie indziej.

LINIE PODZIAŁU

Konstytucja Trzeciego Maja nie zrywała ciągłości ustrojowej. Nie darmo — instynktem niemal — odwoływał się program Staszcica do cieniów Jana Zamojskiego, największego protagonisty Rzplitej szlacheckiej. Istotą bowiem i „egzekucji praw” z w. XVI i osiągnięć Trzeciego Maja był rozbrat z oligarchią feodálną. „Nadaliśmy sobie... rząd taki, przy którym każdy u siebie był królem”, — te słowa supliki targowickiej do Katarzyny skierowane — to było wyznaczenie wiary tej oligarchii, przeciw której wiek XVI wymierzał „Nihil de nobis sine nos”, a której wiek XVIII odbierał podstawę społeczną. Nawet zniesienie „Liberum veto” — owego wykultu refederalizacji społeczeństwa polskiego w wieku XVII — można by poczytać za nawrót do praktyk ustrojowych wieku XVI, kiedy wolne „ucieranie zdania pospolitego” ponad większość formalną i partykularyzm wysuwało kompromis w imię dobra powszechnego.

I tu właśnie przechodzi pierwsza linia podziału między dziełem Trzeciego Maja, nawiązującym do tradycji Wieku Złotego a Targowicą, kontynuującą wiek XVIII.

Druga linia podziału przechodziła — że tak powiemy — na zewnątrz Polski. 3 Maj nie był zamierzony jako święta łabędzia pieśń wolności — miał być punktem wyjścia do walki o nią, o realizację tej dumnej uchwały z dn. 28 września 1790, która dając wyraz woli Narodu do niepodległości, za nieprzyjaciela ogłaszała każdego, kto by się do obcych gwarancji i protekcji odwoływał. To było istotnym celem Konstytucji i przez samo jej uchwalenie zdawało się stawać rzeczywistością. „Ojczyzna już jest ocalona, w dążąc w akcie ustawodawczym przede wszystkim „zdławienie bezładu feodalnego, który wojną wewnętrzną i niewidzialną zewnętrzną trapił Polskę”. Pod tym kątem widzenia kształtowano ustrój Polski i na ten cel nastawiano prawodawstwo społeczne. „Stan szlachecki — pisał Staszic — albo... do niewoli gotować się musi, albo chcąc swoją wolność ocalić, innym współobywatelom Polakom sprawiedliwość zapewnić powinien”.

I nie inaczej ocenił sens Maja przenikliwy Kaunitz, nie inaczej widzieli go zaborcy.

(Dokończenie na str. 7-iej)



PLAKAT POWSTANIA
rozlepiany w walczącej Warszawie

młodej burżuazji i inteligencji mieszczańskie. I w wieku „egzekucji praw” zwycięska szlachta wchłaniała szczyty mieszczaństwa polskiego. Ale między tymi pozornie identycznymi procesami zachodzi przeciwieństwo decydujące. W w. XVI zmiana szlaków handlowych i przewrót gospodarczy na zachodzie skazywał Polskę na wygodną rolę biernego uczestnika obrotu międzynarodowego, niemal monopolowego dostawcy produktów rolnych.

W tych warunkach szlachta mogła zepchnąć miasta do poziomu organów obsługi interesów własnych, z drugiej zaś strony szczyty mieszczaństwa, nie znajdując dla siebie pola działania, inwestowały kapitały w ziemi, przechodząc w szeregi szlachty i wyjąławiając miasta gospodarczo i społecznie. W w. XVIII widzimy proces odwrotny. Straszliwa depopulacja Polski w w. XVII, której rezultatem było uwstecznienie rolnictwa polskiego, utrata monopolowego niemal stanowiska w eksporcie zbożowym — wszystko to zmniejszało liczbę szlachty gospodarczo niezależnej, zwiększając równocześnie władzę arystokracji nad masą „ludu szlacheckiego”. Wyjście z tego impasu było jedno: na wzór Europy zachodniej stworzyć przemysł, rozwinąć handel, rozszerzając rynek wewnętrzny i otwierając nowe ujęcia dla produkcji rolnej. Naturalnym ośrodkiem tej rekonstrukcji winno być miasto. Ale w połowie w. XVIII miasta polskie liczyły mniej ludności i mniej kapitału, niż w w. XVI a może i XV.

zrozumiała jest w pewnej mierze logika ograniczeń reprezentacji miejskiej w sejmie, skoro miała ona reprezentować interesy oddziału społecznego, którego przeznaczeniem było stopniowe zespolenie się z warstwą będącą właściwą nosicielką inicjatywy gospodarczej i politycznej.

Ten element rozwojowy w konstytucji 3 Maja uwidatnił współczesnie surowy jej krytyk, trybuna wielkich dni rewolucji francuskiej, Kamil Desmoulins — o ileż bardziej w tym sprawiedliwy dla obcej mu Polski szlacheckiej, niż późniejsi jej badacze, miarą swej własnej współczesności i jej potrzeb aktualnych mierzący wartość dziejową osiągnięć przeszłych wieków.

Dla nich niezrozumiałymi byłby entuzjazm jakobina Anacharsisa Clootsa, późniejszego wodza „wsiekłych” sankiulotów: „Pójdźmy swoją drogą, ręka w rękę z wami, waleczni Sarmaci, skoro naprawdę ten sam jest nasz kierunek: do tegoż celu zmierzamy. Wy, podnosząc lud do rangi szlachectwa, my, podnosząc szlachtę do godności ludu”. Lud — to nawet dla sankiuloty r. 1793 znaczyć będzie „obywatel czynny”, zwycięski „bourgeois” i „fermier”, samodzielny wytwórca bogactw narodowych, wchłaniający szlachtę tak, jak szlachta — największy w Polsce wytwórca — wchłonać miała mieszczaństwo. Stan czwarty — beznamiętny świat pracy chłopskiej i robotniczej — jeszcze i na zachodzie czekał na swoich Sieyes'ów. Dlatego też i rewolucjonista

ALEKSANDER THEN

HISTORYCZNY PREZYDENT

W listopadzie 1944 r. Franklin Delano Roosevelt wybrany został po raz czwarty prezydentem najpotężniejszego państwa na kuli ziemskiej, w styczniu 1945 r. wszedł w okres czwartej kadencji, w kwietniu zmarł.

W długim szeregu 31 prezydentów Roosevelta był jedynym, który wybierany był czterokrotnie. Kilku zaledwie było prezydentów, którzy pełnili swój wysoki urząd przez dwie czteroletnie kadencje. Ani jeden nie został wybrany na trzecią kadencję. Już z tych względów Franklin Roosevelt stał się dla Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej postacią historyczną. To zaufanie własnego narodu zyskał sobie Roosevelt nie tylko z powodu swych zalet osobistych, ale i przez fakt, że od samego początku swej kariery politycznej reprezentował pewną ideę. Sam pochodząc z tzw. arystokracji amerykańskiej, reprezentującej najstarsze rody europejskich przybyszów, przeważnie pochodzenia holenderskiego, lub angielskich purytanów uchodzących przed przesładowaniami religijnymi sprzed 300 lat, Roosevelt był wprawdzie zamożnym i pod względem materialnym niezależnym, ale widział ogromne różnice społeczne, dzielące dynastie różnych „królów” stali, czy bawełny, skóry, czy węgla od szarej milionowej masy obywateli amerykańskich. Roosevelt różnił się od wszystkich innych demokratycznych prezydentów nie tylko koncepcją polityczną, ale przede wszystkim koncepcją socjalną. Inny wielki demokratyczny prezydent Stanów Zjednoczonych, Woodrow Wilson, był wykładnikiem politycznego programu obozu demokratycznego. Roosevelt był wykładnikiem programu socjalnego.

Nie ulega wątpliwości, że sama historia świata powersalskiego i głęboki kryzys ekonomiczny, jaki runął szczególnie na państwa przemysłowe, zatem w wielkiej mierze i na USA, narzucił Rooseveltowi radykalny program socjalny. Miliony bezrobotnych, wyrzucanych bezwzględnie na bruk przez „królów” przemysłu amerykańskiego w okresie kryzysu stworzyło dla nowej Ameryki pewien problem, który domagał się rozwiązania. Stany Zjednoczone przechodziły już różne kryzysy: finansowy, rolny, nie przechodziły kryzysu produkcji przemysłu, ani kryzysu bezrobocia. Za onych czasów przed pierwszą wojną światową fabryki amerykańskie wyrzucały na bruk robotników wyspanych z sił i ze zdrowia, gdyż na opróżnione przez nich miejsca czekali nowi zdrowi i silni przybysze z Europy. To był objaw tak w Ameryce naturalny, że nikogo nie interesował. Ubezpieczenia społeczne były niepotrzebne w państwie, które cierpiało na brak rąk do pracy, a nie na ich nadmiar. Powojenny kryzys ekonomiczny zwrócił jednak uwagę na problem, dotąd niezany w Ameryce. Ktoś musiał podjąć walkę o losy milionowych mas bezrobotnych i kandydatów na bezrobotnych, którzy nie dziś, to jutro, mogli się znaleźć na bruku. Walkę tę podjął Roosevelt. Podjął ją z taką zaciętością, że nie wahał się stoczyć wewnętrznej kampanii z towarzyszem partyjnym i oficjalnym kandydatem partii demokratycznej na prezydenta, Smithem.

Przepadli obaj. Ale Roosevelt, mimo swego kalektwa, wykazał więcej sił. Prowadził dalej upartą walkę wewnątrz własnego obozu, uzyskał inwestyturę, stanął do wyborów jako oficjalny kandydat demokratyczny i wreszcie wygrał. Wszedł do Białego Domu ze swym programem socjalnym, przełamał opozycję własnych towarzyszy w sprawie „New Deal”, reprezentującego jego program socjalny, odczuli opieką państwa rzesze pracujące i cały drobny społeczny, stoczył heroiczną walkę z królami przemysłu amerykańskiego i wygrał ją. Stał się od swej pierwszej kadencji prezydentem mas.

IZOLACJONIZM

Ta walka o realizację w ramach państwowych programu socjalnego Roosevelta zajęła mu całą pierwszą kadencję. Masy oceniły należycie zarówno wysiłki, jak i osiągnięcia Prezydenta i zatrzymały go w Białym Domu na drugą kadencję. To był już przełom lat 1936—37. W Europie dokonywały się głębokie przeobrażenia polityczne. Faszyzm rozciągał już dawno triumfalny pochód przez Europę, ba, sięgał do Azji, a nawet do Ameryki Łacińskiej. W Hiszpanii rozgrywała się krwawa próba generalna walki faszyzmu z demokracją. Hitler stał na czele Niemiec, rozdarł już Traktat Wersalski, podeptał Traktat Łokarneski, odnowił armię i rozpoczął budowę strategicznych autostrad.

Gdy Europą wstrząsały pierwsze przedwojenne drgawki, gdy na ledwie po poprzedniej wojnie ukojonej ziemi wyrastały zaczęły dwa groźne militarysty i imperializmy, które w niedalekiej przyszłości stoczyć miały ze sobą śmiertelną walkę, — kontynent amerykański żył w spokoju politycznym. W Stanach Zjednoczonych triumfowała doktryna Monroe'ego, zamykająca przed państwem widok na dalekie horyzonty polityczne i wciśniętą naród w ramy izolacjonizmu. Polityka zagraniczna Stanów mogła się wyżyć co najwyżej w panamerykanizmie, gdyż doktryna Monroe'ego, jasniejąca nowym blaskiem od klęski programu europejskiego Wilsona w Senacie, ograniczała aktywność państwa do kontynentu amerykańskiego i wód Pacyfiku.

Brak zacięcia imperialistycznego, natomiast istniejący w Stanach imperializm gospodarczy, usprawiedliwiał ostatecznie taką politykę w czasach trwałego pokoju, ale nie w obliczu zbierającej się burzy, która objąć miała wszystkie kontynenty. Izolacjonizm amerykański był tradycyjny, a polityka interwencji w sprawach europejskich była odskokiem od tradycji Stanów i nie posiadała należytego przygotowania w departamencie stanu. Przecież Stany Zjednoczone posiadają stosunkowo szczupłe kadry zawodowej służby dyplomatycznej. Ambasadorami USA zagranicą bywają osoby przyjaciela prezydentów, wielcy przemysłowcy, profesorowie, czasem — admirałowie. Polityka zagraniczna w tych warunkach raczej studiowana jest w ciszy gabinetów Białego Domu w momencie, gdy powstaje problem, którym należy się zająć.

Do r. 1937 Roosevelt nie wypieknął tej próżni, zajęty wyłącznie realizacją palącego programu socjalnego. Kongres również żył spokojnie w tej próżni, ograniczonej doktryną Monroe'ego i billem Johnstona, zamykającym kasę amerykańską przed opieszałymi płatnikami europejskimi z poprzedniej wojny. W czasie pokoju bill ten nie posiadał decydującego znaczenia. Europa posiadała własnych bankierów: Francję i Wielką Brytanię. Ale szło o ideowe nastawienie narodu amerykańskiego do Europy wyrażające się w nieprzychylnym ustawie Johnstona.

Ale oto zbliża się i nadchodzi w Europie okres agresywnych uderzeń Hitlera, na które Amerykanin patrzy z niedowierzaniem i nieufnością, ale patrzy jak daleki widz, siedzący w wygodnej łóż. Siedzi w niej sam jeden. Nikt mu nie przeszkadza. Może swój fotel przesunąć dowolnie po łóż i oglądać ciekawe widokowo europejskie z różnych punktów swej łóż. Jakież może być jego stosunek do rozgrywanej się na scenie europejskiej sztuki? Jak każdego przeciętnego widza w teatrze, nie znającego się na sztuce, ale posiadającego pewną dozę odczucia.

Takim widzem staje się mimowoli prezydent Roosevelt już w drugiej kadencji swego urzędowania. Obserwuje przyłączenie Austrii do Niemiec, kryzys czechosłowacki i konferencję Monachijską, zabór Kłajpedy i stworzenie protektoratu czeskiego. W miarę rozwoju wypadków jego zainteresowanie sytuacją europejską wzrasta. Wysyła do Europy zdolnych komiwojażerów politycznych i dowiaduje się od nich różnych, przeróżnych spraw z kulisów powersalskiej polityki europejskiej. Wreszcie nadchodzi sierpień 1939 roku. Za kilka dni wybuchnie wojna. Roosevelt zaczyna działać. Śle pismo do Hitlera i do prezydenta Mościckiego. Jeśli nie zjedzie sam na scenę, nie zmieszka się z tłumem aktorów i nie zaimprovizuje swej roli, jego gesty i nawoływania z łóż pozostaną bez skutku.

ARSENAL DEMOKRACJI

Roosevelt znał doskonale swój naród. Wiedział, że przy odpowiednim wychowaniu wprowadzi go z cianych ram izolacjonizmu i potrafi ominąć szczęśliwie niebezpieczne rafy billu Johnstona. I podjął się owej roli wychowawcy. W całym szeregu swych przemówień radiowych z pierwszego okresu wojny, gdy Stany Zjednoczone były coraz czynniejszym współuczestnikiem dramatu europejskiego, przedstawiał swemu narodowi ideowe podłoże toczącej się wojny, a jednocześnie, sam nieodrodny syn tego narodu, przedstawiał przemysł amerykański z wolną na produkcję wojenną.

Tragiczne załamanie się Francji pomogło Rooseveltowi przyspieszyć budowę programu politycznego. Rozpaczliwy apel premiera Reynaud z Bordeaux o pomoc Ameryki w tragicznych dla Francji dniach czerwca 1940 r. stanowił wstrząs dla sumienia Amerykanów. Amerykanie nareszcie zaczęli powoli rozumieć istnienie satanicznej siły, która obala potężne państwa europejskie, a narody bierze w niewolę. Przeciwny Amerykanin wytrącony został nagle z izolacjonistycznej równowagi ducha, ale jakież pomocy mógł udzielić padającej już pod ciosami hitlerizmu Francji? Żołnierzy amerykański nie pójść się bić ponownie za Europę. Jest zresztą za późno. Wkrótce nastąpiła kapitulacja Francji. Nawet lotniskowiec francuski „Bearn”, wiozący 200 samolotów amerykańskich kupionych za gotówkę, dopłynął tylko do Martyniki. Daremnie upominał się o ich zwrot rząd Stanów Zjednoczonych, by je przekazać Anglii, która z kolei znalazła się w wielkiej potrzebie.

Cały program polityczny Roosevelta skupił się w tym przełomowym okresie na polityce zagranicznej. Czynny udział w polityce międzynarodowej wiązał się ściśle z problemami polityki wewnętrznej, wyciągał masy amerykańskie z obozu izolacjonistycznego, a zatem w większości z republikańskiego. Jeszcze Roosevelt nie rzucał hasła interwencji aktywnej, ale budził najwyższe zainteresowanie wypadkami światowymi, budził czujność na niebezpieczeństwo. W epoce lotnictwa najbardziej oddalony kraj nie jest wolny od niebezpieczeństwa. Na to niebezpieczeństwo zwracał Roosevelt stale uwagę swych współobywateli. I na stronę ideową wojny. Budził niechęć do Niemców. Wykazywał ich podłość.

W pogadance z 20 grudnia 1940 r. Prezydent mówił: „Niektóre narody europejskie związane były z Niemcami uroczystymi pakta-
mi nieagresji. Inne narody miały solenne

zapewnienia Niemców, że nie potrzebują nigdy obawiać się napaści z ich strony. Bez względu na to, czy istniał pakt nieagresji, czy nie, zostały one zaatakowane, rozgromione i zepędzone w nowoczesne niewolnictwo. Narodowi socjaliści usprawiedliwiają podobne czyny przy pomocy świętoszkowskich oszustw.

W mowie przed Kongresem w dniu 6 stycznia 1941 r. Roosevelt oświadczył: „Wiemy, że pokoju trwałego nie można kupić za cenę wolności innych ludów”.

A dalej: „Ład światowy, do którego dążymy, to współpraca narodów wolnych, żyjących zgodnie w przyjaznej, cywilizowanej społeczności”.

W przemówieniu do dziennikarzy w Białym Domu dnia 15 marca 1941 Prezydent powiedział: „Gdy rozpadną się dyktatury wówczas kraj nasz musi nadal odgrywać wielką rolę w okresie odbudowy świata dla dobra ludzkości. Wiemy, że każdy naród, choćby najmniejszy, posiada przyrodzone prawo do własnego życia narodowego”.

Jest to już jawne potępienie odosobnienia. Jest to świadome dążenie do wypchnięcia Ameryki na szeroką arenę świata, gdyż Amerykanie są również członkami cierpiącej ludzkości, oczekującej wybawienia. Jest to przekroczenie progu amerykańskiego w kierunku Europy. Wkrótce Roosevelt wypłynie na Atlantyk i ustali z Churchilllem zasady Karty Atlantycznej.

KROK ZA KROKIEM KU WOJNIE

Roosevelt nie byłby Amerykaninem, gdyby, wygłaszając swe oświadczenia, zaniedbał jednocześnie praktycznej strony zagadnienia wojny europejskiej. Pomagało mu to zresztą waleń do rozwiązania wewnętrznego problemu socjalnego. Przedstawianie niebezpieczeństwa niemieckiego, bez względu na gwałtowne zaprzeczenia niemieckie, nakazywało szkolenie rekrutów i rezerw milicji. Cwiczyli żołnierze potrzebowali broni. Nie tylko karabinów. Rzeczoznawcy amerykańscy pilnie badali metody nowoczesnej wojny w Europie. Rozpoczęło się coraz szybsze przesuwanie przemysłu amerykańskiego na produkcję wojenną, zakładanie nowych fabryk, szczególnie lotniczych.

Dwa lata wychowania ideowego oznaczało również dwa lata rozbudowy przemysłu wojennego. Do swego demokratycznego gabinetu powołał Roosevelt dwóch republikanów na odpowiedzialne podczas wojny stanowiska: wojny i marynarki.

Nie chcąc walczyć z billem Johnstona, omija umiejętnie sumienie finansisty amerykańskiego i proponuje słynną ustawę „O pożyczce i dzierżawie”, znaną pod nazwą billu „Lend-Lease”. W ramach tej ustawy dziesiątki tysięcy ton zaopatrzenia i uzbrojenia płynęły do Anglii. Już aż do Islandii konwoje płyną pod osłoną amerykańskich okrętów wojennych, których dowódcy otrzymują rozkaz strzelania do niemieckich okrętów podwodnych. Hitler pieni się i wydaje rozkaz atakowania okrętów amerykańskich. Jest to regularna wojna, acz nie wypowiedziana.

W takim stanie rzeczy dnia 7 grudnia 1941 r. następuje podstępny atak japoński na Pearl Harbour, a nazajutrz Hitler wypowiada wojnę Stanom Zjednoczonym.

Trudno obliczyć konsekwencje niespodziewanego ataku japońskiego na kluczową bazę floty amerykańskiej, gdyby ataku tego nie poprzedzał dwuletni okres przygotowywania społeczeństwa amerykańskiego do wojny, gdyby nie istniały już przeszkolone masy żołnierzy i marynarzy amerykańskich, gdyby nie istniały już dobrze rozbudowane kadry lotników bojowych i wreszcie gdyby nie było postawione już jako tako na stopie wojennej przemysłu amerykańskiego. Atak japoński mógł grozić katastrofą. Jeśli nie stał się katastrofą, to dzięki przewidującej polityce prezydenta Roosevelta, który urzędował już w trzeciej kadencji. W listopadzie 1940 r. został wybrany raz jeszcze, ale już uszczuploną większością głosów. Naród amerykański bał się wojny, masy wierzyły w jego rozsądną politykę. Uznały, że w trudnym okresie konieczna jest ciągłość polityki. Osiągnięcia wojenne Roosevelta w trzeciej kadencji były takie, że w ostatnich wyborach w listopadzie 1944 uzyskał znowu większość kilku milionów nad swym przeciwnikiem republikańskim.

POLSKIE CIERNIE

Wojna wybuchła dnia 1 września 1939 r., a nie o rok wcześniej, ani w marcu 1939, ponieważ pozycja Polski w ogólnym systemie bezpieczeństwa europejskiego była bez porównania ważniejsza, aniżeli Czechosłowacji. Jej położenie geograficzne zamykało Niemcom drogę na wschód, a armia polska mogła stanowić dla Hitlera dość znaczną siłę oporu pod jednym wszelako warunkiem: że armie sojusznice trzymałyby faktyczną straż nad zachodnimi granicami Niemiec; że slogan angielski o granicach Anglii nad Renem posiadałby praktyczne znaczenie; że wreszcie na tyłach Polski istniałoby państwo istotnie neutralne.

Z chwilą wejścia do wojny Stanów Zjednoczonych problem europejski Polski stał się problemem światowym, a Polska według słów samego Roosevelta „natchnieniem narodów”. Jakież więc zmiany faktyczne, czy ideologiczne nastąpiły w okresie między 1 września 1939, a jesienią 1943 r., że Roosevelt zgodził się mil-

cząc na uchwały konferencji w Teheranie, zawierające postanowienia o piątym rozbiórce Polski? Jeśli idzie o stronę polską — żadne. Nie zmienił się również punkt widzenia Roosevelta i Churchilla na całość zagadnienia. Ale — niestety — nie zmienił się również punkt widzenia pozostałego partnera. W Teheranie i w Jałcie punkt widzenia na sprawę Polski rządu sowieckiego pozostał ten sam, jakim był dnia 23 sierpnia i dnia 17 września 1939. Nie zdołał obalić tego punktu widzenia ani układ polsko-sowiecki z 31 lipca 1941 r., ani układ Sikorski-Stalin z grudnia 1941 r.

Ktokolwiek oglądał w kinie zdjęcia z konferencji w Jałcie, a następnie zdjęcia w prasie z konferencji odbytych przez prezydenta Roosevelta w drodze powrotnej w Egipcie, ten nie mógł nie zauważyć, że na twarzy Prezydenta leżał już cień śmierci. Oglądaliśmy na tych zdjęciach utrudzoną nad wyraz twarz przedwczesnie postarzałego i chylącego się do grobu człowieka, mimo jego ledwie 62 lat. Być może, że brzemień poczucia odpowiedzialności za podjęte decyzje pochyliło tego człowieka i pokryło bruzdami jego szlachetną twarz.

Nie tylko czynnik urzędowy amerykański, ale i szerokie masy Amerykanów zdają sobie doskonale sprawę, że w r. 1945 sprawa Polski nie jest sporem o międzę graniczną na Wschodzie, jak nie była sporem o międzę graniczną na Zachodzie w r. 1939. Wówczas Polska stała faktycznie sama naprzeciw całej potęgi niemieckiej. Wypowiedzenie wojny Niemcom przez Anglię i Francję było z początku aktem formalnym, bez praktycznego znaczenia, wobec nieprzygotowania mocarstw zachodnich do wojny. W owym tragicznym wrześniu biliśmy się dosłownie sami, opuszczeni, bez pomocy ze strony Sojuszników. Biliśmy się nie tylko za sprawę własną, ale i za cudzą. Aby nasi zachodni Sojusznicy mogli się do wojny przygotować. Wszak w 1939 r., w chwili wybuchu wojny, W. Brytania nie posiadała ani jednej dywizji pancernej. Nie posiadała dostatecznej obrony przeciwlotniczej, ani masowej produkcji owych wspaniałych Spitfire'ów, ani Hurricane'ów, które pozwoliły jej wygrać bitwę o Anglię... ale w r. 1940. Polska nie mogła wygrać kampanii wrześniowej wobec ogromnej przewagi dwóch najbardziej militarnych potęg świata, ale już sam fakt skierowania całej potęgi niemieckiej na Polskę ratował od niebezpieczeństwa mocarstwa zachodnie już wówczas. Bohaterski zryw Polski do obrony stanowił u samego początku zaporę w dążeniach niemieckich do panowania nad światem.

Czy o tym wszystkim zapomniano w Teheranie i w Jałcie? Klucz do tajemnicy tych dwóch konferencji spoczywa w trzech egzemplarzach w Moskwie, w Londynie i w Waszyngtonie. Gdy Nemezis dziejów odwróci swe oblicze, ktoś dobiedzie klucza i otworzy głuchy zamek tajemnicy. Roosevelt nie zabrał jej do grobu. Przekleństwem tajnej dyplomacji są archiwa. Kiedyś archiwa te przemówią.

PREZYDENT TRUMAN

W myśli konstytucji Stanów Zjednoczonych prezydent jest jednocześnie premierem, który dobiera sobie do pomocy w rządzeniu sekretarzy, odpowiedzialnych tylko przed nim. On sam tylko odpowiada przed Kongresem. W dziedzinie polityki zagranicznej, wypowiedzenia wojny, zawierania pokoju, ratyfikowania traktatów międzynarodowych, decydującym jest Senat, który przed 25 laty nie zatwierdził wersalskiej polityki prezydenta Wilsona, odepchnął Stany Zjednoczone od spraw europejskich i wepchnął je z powrotem w ramy izolacjonizmu.

Sekretarze (ministrowie) nie mogą w tych warunkach prowadzić własnej polityki, lecz muszą prowadzić politykę urzędującego prezydenta, gdyż on, a nie oni, są przed Kongresem za tę politykę odpowiedzialni. Jeśli ujawni się różnica koncepcji między prezydentem a sekretarzem, lub podsekretarzem, sekretarz odchodzi, a jego miejsce zajmuje ten, kto popiera bez zastrzeżeń politykę prezydenta. To właśnie miało miejsce z podsekretarzem stanu Sumner Welles'em.

Czy nowy prezydent, Truman, dokona jakichkolwiek zmian w dotychczasowej linii politycznej Stanów Zjednoczonych w dziedzinie międzynarodowej? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Truman jest raczej człowiekiem kompromisu, a nie bojową indywidualnością, która narzuciłaby się zgromadzeniu partii. Wybitną indywidualnością był Franklin Roosevelt, który w ciągu 12 lat swego urzędowania ustalił linię polityczną Stanów Zjednoczonych. Nie nie przemawia za tym, aby Truman zechciał dążyć do zmian w tej polityce. Jego wiek zbliżony jest do wieku zmarłego Prezydenta, a zatem nie można przewidywać nadania dotychczasowej polityce jakichś cech młodości.

Wszystko więc przemawia za tym, że polityka Trumanowa będzie kontynuacją polityki Roosevelta, za którą trzykrotnie w odstępach czteroletnich opowiedziały się masy narodu amerykańskiego. Mimo to zmiany nie są wykluczone w pewnych szczegółach. Truman może mieć inny pogląd na jakiś problem i inną formułę rozwiązania.

Ale o tym dowiemy się w toku jego urzędowania.

Aleksander Then

ALEKSANDER JANTA-POLCZYŃSKI

„Koniec Niemców - teraz Polacy rządzą!”

Reportaż z frontu zachodniego

Kłapy czołgu otwarte — wystawiamy z nich jeszcze głowy, kolumna wyciągnęła się na drogę, wali przede mną jeden z naszych Shermanów, stalowe bydlę, posuwające się ze zgrzytem na tych dwóch pasach, nie słuchając, a srebrnoluskich, wylających się spod kadłuba lśniącym strumieniem, który podpełza mu znowu pod grzbiet. Na uszach słuchawki szumiące pogłosami różnych nadeń, dokoła piekielny huk żelastwa — spod gasienic poprzednika bije kurz i grudki ziemi przyskają w oczy; założyłem okulary, czuję się słuchem włączony w huczący rytm tego mechanizmu, który odcina kontakt z zewnątrz, czuję się częścią jego ciężaru, wtopiony ciałem w komorę pancerną, z jakiego jeszcze tylko głowa wystaje na zewnątrz, n czym czuły na resztę świata peryskop.

Tym peryskopem doświadcza obrazu po-bojowiska. Wyjeżdżamy z miasteczka Marks-platz. W powietrzu jeszcze woń spaleni, pył drobny odbitych tynków i cegieł, świeży aromat zmiażdżonego drzewa i liści, choinkowe trochę zapachy, gruz i nieład, twarze cywilów wierzających niepewnie na świat po pobycie w piwnicach, strzaskane samochody, spalony czołg, armatka z lufą — zaryte w ziemię. Coraz żywszy ślad niedawnej bitwy. Saperzy chodzą bokami dróg, sprawdzają, czy nie ma min. Robią wrażenie błagających się rowami ślepców, z kijami pielgrzymów, którzy macają przed sobą ziemię i szukają, gdzie postawić nogę.

Plutonowy Słowik, dowódca czołgu bada mój nastrój, a zarazem działanie domofonu*). Odzywa się głos w słuchawkach: Jak się pan porucznik czuje? Trwało chwilę, zanim się zorientowałem, że to do mnie. — Owszem, wszystko w porządku. Na rozstaju dróg zatrzymanie. Kapral Błasiak, kierowca i sąsiad w czołgu, wtajemnicza mnie w szczegóły miejsca i zadanie, z jakim tu siedzę. Pierwszy raz w życiu zresztą.

Uchwyt karabinu maszynowego na wysokości kolan. Lewarkiem obniża się siedzenie. Kłape trzeba nad głową zamknąć. Kłapa ciężka, opatrzona pudem pryzmatu, który już po jej zamknięciu otwiera przed oczami w ciemności prostokątny, podłużny wycinek krajobrazu. To wszystko, co z tego miejsca widać. I wtedy celuje się przy strzelaniu. Pociski, co piąty, świetlnie. Więc przecież widać, gdzie leca. To tymczasem teoria tylko, bo jeszcze nie strzelamy. Próbką tylko, jak zamykać kłapę i jak ją potem otworzyć. Bardzo niezgrabnie to robię. Skrzynki z amunicją pod nogami, taśma o złotych łuskach i srebrnych pociskach w zwojach równo ułożonych w otwartej skrzynce, już przeciągnięta w zamek karabinu. Tylko załadować jednym szarpnięciem ręki — tylko palcem o język spustowy i strzela.

Nie ma czasu przeciwiczyć tych ruchów, zaraz jedziemy. Wzdłuż lasu. — Niech pan kłapę zamyka i uwaga! — mówi Słowik. — Bo tu już są snajperzy**).

POBOJOWISKO

Przejeżdżamy przez wieś — pali się kilka domów, droga pełna karierów, po bokach zmęczona piechota. To oni wykonyli zadanie dnia dzisiejszego. Prowadzą jakichś jeńców. Na jeepach wiozą rannych, na dachu złożono nosze, kształy ludzkie otulone kocami. Mimo pozorów zamieszania i ścisłości, droga dla nas przeciera się łatwo; zatrzymaliśmy się tylko, aby wziąć przewodnika. Nawina! się jakiś chłopak miejscowy, pierwszy lepszy.

— Właż na czołg, poprowadzisz! Wgramolił się trochę niechętnie. Jedzie na czołgu przed nami. Ale pociechy z niego żadnej, przestraszył się. Myśli pewnie, że go wywożą na dobre. Trudno mu wytłumaczyć w huku i dygocie tej stali, że to tylko przyjacielska przysługa i że pójdzie sobie zaraz, byle pokazać gdzie droga. Jest już noc. Krwawe odbłyśki pożogi przebiegają z lewej i prawej strony, oświetlają nam drogę, rzucają cienie złowrogie na te kształy stalowych potworów, co ciężko toczą się naprzód. Chłopak, skulony na czołgu, pące — ze strachu. Załoga w wieczące wymyśla mu trochę, że głupi. Ale na to nikt nie poradzi. Zresztą sami znajdziemy przeprawę. Dostał papierosa i poszedł, skoczyć z czołgu w bok i ucieka, uradowany. Przed nami znowu zabudowania w płomieniach.

Wokoło łąki. Księżyc zza chmur wylega błady bardzo przy odblaskach ognia. Minglający mostek na rowie. Zatrzymać. A więc to tu ta przeprawa, a wygląda tak, że można nie zauważyć wcale. Jednak na przekór pozorom jest to jedyne miejsce przez jakie mogą bezpiecznie przejść czołgi — wokoło łąki, mokre, niskie i zdradliwe. Trzymanie tego mostka jest w rachubie dowódców warunkiem udanego manewru i natarcia na tym kierunku, przewidzianego na dzień jutrzejszy. Ubezpieczyć przeprawę. Przyjdzie w nocy piechota, ale do jej przyścia trzymać czołgami. Nasze trzy czołgi szpicy wychodzą poza mostek i ustawiają się za nim blisko, czarne bryły, lufami niby dyszlem zwrócone wpród i na oba boki. Reszta szwadronu w tyle.

— Wy tu tworzyć jeża — mówi dowódca szwadronu. — Bronicie się w razie czego bez związku z nami. My tam w tyle za wami drugim jeżem staniemy. I dodaje już tylko na prywatny użytek: — Byle tylko

doszła na czas piechota i byle nas nie zaczęła niedobry wróg...

KLINEM W NIEMIECKIE POZYCJE

Stoimy. Dywizja nasza wbija się klinem w pozycje niemieckie — 7-ma Armia pancerna brytyjska robi zagon aż pod Njimegen i zachodnie ramię Renu, a my teraz, równolegle do nich, pod zebro wchodzimy Niemcom i wiążemy siły, aby umożliwić od góry zamknięcie worka belgijsko-holenderskiego, od Antwerpii zatoczonego łukiem na wschód, aż po Morze Północne. Zdaje nam się przynajmniej, że tak wygląda plan. Ale jakby nawet nie wyglądał, nie nie zmienia faktu, że dywizja wysuwa się naprzód i że stoimy teraz na samym czubku owego klina, wbijanego na kierunek Thilburg. Przed nami ziemia niczyja — i Niemcy. Za nami o dwadzieścia kroków, mostek przeprawny, od którego zależy jutro.

Spostrzegamy nagle w mroku jedną jeszcze postać: ależ to Niemiec. Więc po niemiecku do niego: — Poddaj się. — A on na to, prawie oburzony: — Dajcie spokój. Mnie kapitan kazał kolację wydawać, toteż idę wydać kolację. — I pcha się do swojej kuchni. Mało go nie ustrzelono, myśląc, że za bezczelny, ale potem się wydało, że nie nie rozumiał. Jeszcze przed pół godziną nikogo z nas tu nie było, chociaż przełaził się tu 10-ty strzelców, który swoje zrobił i pojechał, a teraz znowu już Polacy? Wierzyć mu się nie chciało. Ale pomogliśmy mu i uwierzył.

Przy szosie piękne gumowe buty pułkownika dla amatora. Mapnik i inne oficerskie przybory — cały swój bagaż zostawił. Tytoń i nawet jajko w szklance. Amunicję do pistoletu, różności bieliżnianie i ubraniowe. Ale w wozie taborowym łup ciekawszymi. Jest najpierw sporo bochenków chleba, ale jest także kielbasa krakowska. Niedoczekanie drani. Skąd taką wyfasowali? W skrzyni natrafiam po ciemku na coś tłustego — ależ to masło! Cze bryły masła. Rozsypało się tylko na nie pudło z cygarami, jedno z wielu. I wobec tego nie ma innej rady, jak zabierać to masło, naszpikowane cygarami i jeśli nawet cygar się nie uratuje, masła będzie dla nas, ile chcący. Z tym masłem wracam na czołg. Błasiak przygotowuje kanapki z krakowską kielbasą, bardzo nam to smakuje, palimy potem niemieckie cygara, mniej dobre, ale dające duże moralne zadowolenie.

Zaczyna się ta przygoda wcale barwnie i zajmująco. W najbliższym otoczeniu panuje spokój i ten spokój widocznie sprawia, że załoga czołgu stojącego na drodze (nasz ustawił się frontem, to znaczy lufą w prawo) postanawia wybrać się po wodę. Dokąd? A ot, do tych domów, co to je widać przed nami — ciemne, milczące prostokąty po obu stronach drogi. Poszło ich dwóch: Tomala i Szczepanowski. O Szczepanowskim powiada mi ktoś w ciemności: to młody gość z wykształceniem. Pracował w M.S.Z.-cie. Ale przyszedł tu na ochotnika. Wesoło stukają podkutymi butami po szosie. W nocy rozlega się to, aż za mocno. Sykają na nich towarzysze: ciszej, u diabła!

BIERZEMY JENCA

I nagle — słychać w tym domu najpierw wrzaski, krzyki, jakby wymyślania nadawane tonem komend, a potem zgłuszone stuknięcia wystrażałów.

— Jezus, Maria! Mordują naszych. Wpadli w jakąś pułapkę. Tu już zryw serca, które się w piersi tłucze, jak wróbel w garnku, i prawie podchodzi do gardła. Obrzydliwe uczucie strachu, podcinające jak bat. Ładnie się my urządzili, nie ma co mówić. Po wodę! Co za wariaty!

W pistolecie kurek naciągnięty — trzeba im przyjść z pomocą. Wrzaski nie cichną, tylko strzelanie ustało. Podbiegam do domu, w którego wnętrzu błyska latarka. Ześlizgnęła się światłem po jakiejś postaci: mundur niemiecki. — „Hände hoch!” — krzyczy. Nie, nie potrzeba: kapral Tomala, widzę, z rewolwerem w jednej i latarką w drugiej ręce. I pełno Niemców w pokoju, wypraszanych teraz bez ceremonii na dwór, jeden po drugim. Defilują przed moją lufą pistoletu — ręce w górze, gołe głowy, jeden, pięciu, ilu ich jest, do cholery, ośmiu, dziesięciu, ależ to cały oddział. W porządku, panie poruczniku, melduję Tomala, widząc, że jestem na miejscu.

Ale skoro z tej strony domu sytuacja jest opanowana, trzeba co prędzej zobaczyć, co się dzieje po stronie przeciwnej.

W sam raz dobiegłem. Przez uchylone drzwi ktoś wygląda, nie widzi mnie stojącego pod ścianą i dwie postacie, każda z pękiem granatów u pasa, mają się puścić biegiem prosto na mnie.

Pozwalam im wybiec, by się upewnić, że ich więcej nie ma i dopiero kiedy mnie minęli, wrzeszcząc z palcem na cinglu, sam bardzo zdenerwowany: „Hände hoch!” — Przystanęli zaskoczeni piekielnie, rzucili ręce do góry. — Nicht schiessen, nicht schiessen! — woła jeden z nich błagalnym, chłopięcym głosem. Dwa młodziaki, porządnie nastraszone. Komenderuję: „Marsz”. Prowadzę ich przed sobą, aż pod czołgi. Tam dopiero, w obliczu sterczącej ku nim lufy działa, każę im rzucić broń, granaty, bagnety, wszystko co mają w kieszeniach. Robią to z nateżonym pośpiechem, powtarzając: Kamerad, nicht schiessen. Jeńcy poprzedni już odprowadzeni, jeszcze

dwóch — razem czternastu poszło do tyłu. Ale z Szczepanowskim i Tomalą, zachęceni takim powodzeniem, spieszymy zaraz z powrotem do owych domów. Tomala opowiada podniecony, jak wszedł, niby po tę wodę, jak zaświecił latarką — a tu Niemiec leży zawinięty w koc. A tu cię mamy, bracie — powiedział — szybko zamieniając pustą bankę na rewolwer.

A tamten na to: „Daj mi spokój. Ja jestem z taborów. Idę spać”. Po polsku!

Wszystkiego się można spodziewać, ale w tej sytuacji odpowiedź ta wyglądała na bezczelność i po prostu prowokację. Już się miał do niego zabrać, kiedy nagle wychodzi jakiś cywil. Żadnym ludzkim językiem nie mówi, bo ktoś by rozumiał po fiamandzku? — podejrzliwie spogląda. — „Są tu Niemcy?” Nie nie odpowiada. Ale w dole jakieś zamieszanie: zaświecili latarką w dół do piwnicy, a tu ich pełno i wszyscy z bronią. Trzeba im było strachu napędzić — więc trochęśmy najpierw postrzelali, a potem forą ze dwóra z całym towarzystwem. No, i kto by pomyślał, że tyle tego.

POLAK?

Zagaduję cywila, starszego człowieka, po niemiecku — rozumiem piąte przez dziesiąte co mówi, ale on nie rozumie dotąd, co się stało. Mówię mu — koniec z Niemcami, teraz tu Polacy rządzą! Stanał jak wryty. — Polacy? Z nieba spadł, czy co? Tomala niecierpliwi się. Tłumaczę mu wobec tego, jakie były prawdopodobnie odczucia zapłatanego w ten interes cywila. „Przecież nie mógł wiedzieć, kto to przyszedł. Świeciłeś mu latarką w oczy. Nawet was nie widział!”

Teraz dopiero przechodzi mu strach. Polacy? Więc to się już stało? Niemców przepędziłeś? Nie wróca?

I nagle zaniósł się jakimś starczym szlochem i rzucił mi się na szyję. Płakał. — Wiedzicie — mówię do towarzyszy — nie nie widział. Myślał, że to żandarmi niemieccy po swoich ludzi przysłali. Ale sam odsuwam go od siebie instynktownie — w obecnej chwili nie trzeba zbytino wierzyć w wybuchom takich żulości. A nuż dźgnie w plecy jakimś ostrym narzędziem? Człowiek uczy się tu nieufności. Tyle się nasłuchiwał o pułapkach, zasadzkach itp.

Tłumaczył się także naszym ludziom ze swego zachowania, ten jeniec-Polak, wzięty na pierwszy. Że do niego ktoś po polsku mówił, a coż to dziwnego? My też Niemcom po polsku dajemy opr., jak się zdarzy okazja. Ale tego, że tu są Polacy, nie wiedział. Ba, żeby wiedział, to by na pewno nie zabierał się do spania. Ale kto mógł przewidzieć coś podobnego? I jeszcze nie wychodzi ze zdziwienia i nie wie, jak okazać radość.

Tylko Tomala coś kręci głową. Spytał pierwszego jeńca, jak się nazywa. Tomala — mówi jeniec. Coś takiego! Jeszcze się nawet tak samo nazywa! Może ktoś z rodziny? — podpowiadamy. Eh, gdzie tam znowu z rodziny, — odpowiada oburzony prawie, że można w ogóle posądzać go o takie koligacje.

DOM NA LINII FRONTU

Dalsze dwa domy do obszukania. Cywila chcemy namówić, żeby tam zajął, niby po sąsiedzku, i zobaczyć, co kryją. Boi się, nie pójdzie. Robi się wobec tego plan gry, już teraz według wszelkich zasad wojskowej ostrożności i taktyki.

Każdy bierze jedną stronę domu — Szczepanowski daje mi granat, „w razie czego pan porucznik ubezpieczy”. Ustawiam się wobec tego za węgiem i czekam. Zaszedł od tyłu, może co wypłoszył? Długa chwila milczenia i nagle strzały. Jeden, drugi, trzeci, w równych odstępach. Chwila napięcia i ciszy, jak przed ukazaniem się zwierzęcy na polowaniu. Jakaś postać wybiega na drogę. Ręce trzyma już nad głową i wrzeszczy, jak opętaniec: „Lieber Kamerad, mein lieber Kamerad”. A tu cię mamy, bracie. Zastąpiłem mu drogę i kieruję ku czołgom. Zatacza się po prostu, obracając się to w tę, to w tamtą stronę, ciagle z rękami w górę, jakbyśmy tutaj mieli cały oddział z nastawionymi na niego lufami. I w tę pustkę raz w lewo, raz w prawo, powtarza biegnąc, to swoje krzykliwe zaklęcie: „Mein lieber Kamerad”.

Wychodzą moi towarzysze, trochę rozczarowani. Był tylko jeden. Mieli widocznie ochotę trafić znowu na pluton co najmniej. To co robimy w tej chwili jest na dobrą sprawę zupełnym wariactwem. Ale się człowiek daje ponieść i zachwalością wygrywa. Wystarczyło by przecież, aby jeden tylko z tych złapanych głowy ze strachu nie stracił i, orientując się ilu nas jest, skorzystał z broni, jakiej mieli sporo. Szkoda gadania.

Następny dom. Wchodzimy ostrożnie, jakiegoś światła przebyłszy z piwnicy — cała rodzina siedzi tam zebrała i dośownie drży ze strachu. Staruszka, kobieta z dzieckiem przy piersi i małą dziewczynką, dwoje ludzi w sile wieku, mówiący po francusku. — Czy byli tu Niemcy? — Owszem, byli wieczorem, ale wyszli. W domu nie ma nikogo. Panowie Angli? — Nie, Polacy. — Boże, więc to Polacy! Poruszenie w piwnicy jakieś niezmiernie przyjaźne, jak gdyby ludzi uratowanych od nieszczęścia. Tłumaczają nie mówiącej po francusku reszcie towarzystwa, że to Polacy. Robi się nagle nastrój radosny, zachęcający

Wychodzą na górę. Może by czegoś ugotować. Przyjacielskie, zachęcające uśmiechy. Może mleka? Tak, jakby się dla nich skończył stach i ta próba nerwów, ciężka bardzo dla cywilnej ludności, przesuwania się frontu przez ich mieszkanie, siedzibę, dom. Nie śmiem im wcale powiedzieć, że chociaż Niemców już nie ma, tu teraz właśnie jest front, pierwsza linia. Owszem, niech zgotują mleka, wrócimy tylko najpierw do czołgów zobaczyć, jaka jest sytuacja. Może nawet będziemy nocować w tym domu?

JESZCZE JEDEN „NADCZŁOWIEK”

Wybiegliśmy znowu na dwór, noc cicha — przed nami o 300 metrów wieś ciemna, milcząca. Tam są Niemcy. Chwila wsłuchiwania się w tę ciszę. Tomala nawet rowem podchodzi naprzód — słychać bowiem jakieś kroki od strony wsi, przyczailiśmy się, czujnie, uważnie — i nagle z tamtej strony jedno i drugie huknięcie i świst. A bydlaki, próbując nas spłoszyć. Tomala odcina się pistoletu — krzyczy „Hände hoch!” odpowiada mu o jakieś sto kroków kontrpropozycja. — „Hände hoch!”

Ciemność zupełna, ale tamci mają świetlne pociski, które wybiłyśmy z mroku i tną świszczącą smugą ciemność nad nami. Myślę sobie: ładnie wyglądamy z naszym zamiarem nocowania w tym domu. Całą noc na pewno będą próby powrotu Niemców. Trzema ludźmi nie utrzyma się tego miejsca. Nie jest to zresztą zadanie czołgowych załóg.

Patrol podchodzący ku nam od strony wsi tymczasem dał jeszcze za wygraną, wycofał się. Tomala skokami wrócił do budynków: — Czy pan porucznik widział, jak strzelali do mnie? Od strony czołgów podszedł porucznik Matulanis i Frydrych, popatrzyć co się dzieje. Piechota zaraz podchodzi, mówią nam. Chwała Bogu. Bo to znaczy, że nas już z tych domów nie wyrzucą tej nocy Niemcy. I że czołgi na przetrwanie bezpieczne.

Stoimy tak między domami, gadając. Mówię: będzie przynajmniej gdzie spać, bo tu ludzie gościnni i nawet mleko grzeją. Szczepanowski wlaż przed nami do rowu i znowu wygląda w kierunku wsi, czy przypadkiem ktoś nie podchodzi. Nagle widzimy, pochylili się i wyzywa na czym świat stoi i za kark kogoś wytyłaga. Jeszcze jeden Niemiec w rowie leżał, w rurze od rowu pod przejściem, przez które chodziliśmy. Postawił go przed sobą w rowie, a ten szczeniak siedemnastoletni za rewolwer chwytą, chce się bronić. Rozbroił go dopiero uderzenie w głowę. Odwinął się Szczepanowski i jak mu nie przyłożył gołą ręką — obaj się przewrócili: Niemiec na tę stronę rowu, Szczepanowski na drugą, tak odrzucił.

Podbiegliśmy. Obaj znowu stoją na przeciw siebie. Niemiec już rozbrojony. W mundurze lotnika, smarkacz. Cały czas tutaj leżał i czekał, snajpera próbował odwaląć, gałgan jeden. Szczęściem zajął przed mostek — triumfuje Szczepanowski — i ma rację. — Żebym na niego nie wszedł, to by się do rana nie pokazał. Wprawne ręce rewidują go i rozbierają w mig. Nie można tym draniom ufać. Nie jeden jeszcze sztylet posiada zaszyty w bieliźnie. Z opuszczonymi spodniami, z otwartą koszulą stoi teraz w rowie ten „nadczołowiek” — już pognębiony, ale z beczelną głową i jeszcze próbuje się stawiać. — Od jak dawna tu jesteś? mówię tonem niemieckiej komendy. — Od dwunastej — powiada. — A która teraz godzina? — Dziewiąta — mówi.

Jest jedenasta co najmniej. Nieprzytomny zupełnie, albo udaje, że głupi. — Po coś tu siedział? — Miałem rozkaz. — Kto we wsi przed nami? — Nie wiem. Nie ma nikogo.

Nie da żadnych wyników to przepytywanie. Odeszłał do tyłu.

Zrobiło się nagle rojno na drodze. Jest piechota. Kompania Podhalan. Kariery podjechały na wysokość przeprawy. Dowódca szwadronu czołgów omawia na drodze sytuację — prosi o ubezpieczenie przed sobą, w lewo i w prawo.

Rozkazy, dyspozycje, ruch nagle duży, sprawny — plutony odchodzą na wyznaczone miejsca, o tam, w tej kępie drzew ciemniejącej na równinie łąk i w lewo, nie dochodząc do lasu. Mają pójść w sady ciemne koło domów, podciągnąć rowami wzdłuż drogi. Gdzie nie ma wykopanych przez Niemców stanowisk, tam trzeba wkopać się, bo nie wiadomo, co może się zdarzyć w nocy. Wieś przed nami nierozpoznana. A już chyba zmiarkowali tam Niemcy, żeśmy się podsunęli i przygotowują przyjęcie.

— Czy jesteście pewni, że w tych domach nie ma już nikogo? Bo wystawiliśmy patrol, żeby je obszedł z tyłu, i dostał ognia.

— Nie, nie — mówimy Podhalanom, — dopiero stamtąd wracamy, to Niemcy próbowali się podkraść i strzelali do nas tuż przed naszym przyjściem.

— Jacy tam Niemcy? Własny nasz patrol, u Boga Ojca. Wrócił z meldunkiem, że zajęte przez nieprzyjaciela. I wycofał się, tak jak przyszedł, bez strat.

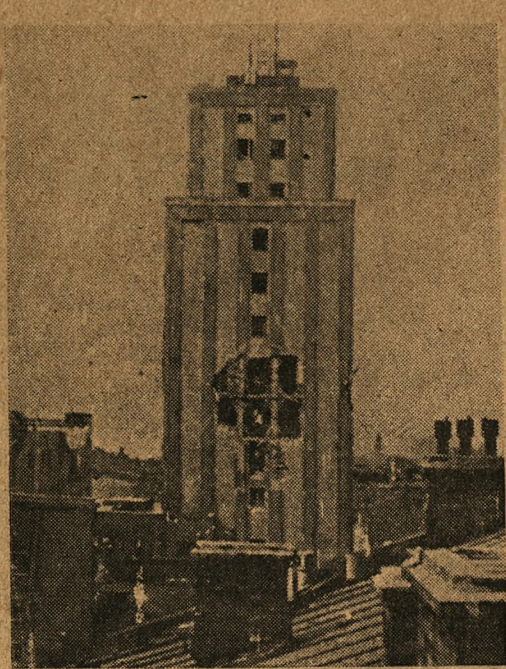
Ładna historia. Bogu też dzięki, że i my bez strat. Widział to kto? straszyc się wzajemnie po ciemku. I wojnę sobie robić, jakby mało tego było. Ależ te domy już nasze od godziny! Siedemnastu jeńców zabranych. Można nawet będzie w nich nocować.

Dziwne były doprawdy przypadki tego wieczoru.

Aleksander Janta-Polczyński

*) Tak wojsko nazwało komunikację radiową z innymi czołgami.

**) Sniper — strzelec wyborowy.



Warszawski „drapacz chmur” przy placu Napoleona, uszkodzony pociskami ciężkiej artylerii niemieckiej.

Londyński dwutygodnik „Sprawa” zestawia opinie niemieckiej prasy o powstaniu warszawskim. Zarówno dzienniki polityczne jak i informacyjne podkreślają, że powstanie warszawskie nie mogło być uwieńczone sukcesem wobec zatrzymania przez Niemców ataku sowieckiego na Warszawę. Dowódcy powstania byli przekonani, że pomoc sowiecka jest bliska, tymczasem właśnie wtedy nastąpiło cofnięcie się Czerwonej Armii o 30 km.

Według informacji niemieckich Armia Podziemna w Warszawie składała się z grupiek liczących od 5—20 ludzi, zakwaterowanych w domach prywatnych, świetnie zakomunikowanych. Wszystkie były przeważnie z młodzieży od 16 do 23 lat. Tym niemniej w obrocie Warszawy brała udział cała ludność, mężczyźni od najmłodszych do najstarszych, a nawet kobiety i dzieci. W wykazie ofiar i jeńców często spotyka się ojca obok syna i mat-



Walka żołnierzy Armii Krajowej na barykadach Warszawy.

SIR JOHN SQUIRE.

WARSZAWA

Zawyły nocą syreny, zmaczy głęboką ciszę
I zgasty. Ale po chwili w powietrzu znowóżem słyszę
Świszt przenikliwy. I wybuch. I huk walących się domów,
Odbity szerokim echem wśród nocu kamieniotomów.

I znów ktoś leży zabity, i znów ktoś inny w żalobie...
I wtedy, nie o nas myśle, ale — Warszawo — o tobie.
Warszawo zaś leży w gruzach i nie masz dna jej niedoli.
I myślę o dniu niedawnym — choć troski to mej nie leczy —
Gdy przybył tu gość z Warszawy i dziwne mówił nam rzeczy.

Tak. Przybył tu gość z Warszawy, i mówił cicho, zaciekle
O nowej strasliwej klęsce, o nowem milczeniu piekła,
O zgłuszeniach martwego miasta, o grozie sterzących szupów,
O ciałach nieopogrzebanych i psach, błędzących wśród trupów,
O nagłych pukaniach do drzwi i błędnych, bezbronnnych liach
Kobiet wleczących po nocy na kałuż w upiornych piwnicach,
O głuchych, nieubłaganych krokach niemieckich strażników,
Uderzających żelazem o kamień lepkiej chodników,
Wśród cieni ulic cmentarnych, gdzie władzę pełni morderca.

Ach! I o rzeczach dziwniejszych mówił ten gość z drżeniem serca.
O udręczonej narodzie, który pamięta wśród klęski,
Jak Europę ocalił miecz Sobieskiego zwycięski,
I potem, jak w podłej znowie, trzy ciemne orły się zwały,
I horad swoich żołdaków z trzech stron granice rozdarły,
I wpiły w ciało narodu nienasycone szpony...
Lecz kraj nie pódła się nigdy, lecz kraj był nieustraszonej,
Raz po raz rwał się do boju, raz po raz upadał krwawej.
Z tęsknoty wyrosły pieśni, (ach, dżiwne to, dżiwne sprawy...)
Z tęsknoty wyrosły pieśni, dodają sercu podniety,
Wied ludie mroc piosenki: „Kto Polak, hej, na bagnety”,
I jeszcze inni, dawniejszą, o brzmieniu słodkim i płynnym:
„Jeszcze Polska nie zginęła.” I pieśń ta stała się Hymnem
Narodu, który przez rzekę udręki i śmierci płynie,
Narodu, który nie zginął, narodu, który nie zginie.

Lecz noc niewoli trwa jeszcze, — więc zeszli w korytarz ciemny,
Słuchają, blade i chmurni, jak gra im Szopen podziemny,
I wyopatrują w skupieniu zbliżającego się sznaku,
Co ich ku bramie Zwycięstwa porwie w Ostatnim Ataku!

Przekład St. Baliński

kę obok córki. M. in. np. brat Melchiora Wańkowicza poległ wraz ze swym synem.

Prasa niemiecka ocenia bardzo pochlebnie przygotowania do powstania. W Warszawie miała istnieć tajna fabryka „Stenów”, granaty ręczne i butelki z benzyną dla atakowania tanków zostały z góry porozdzielane po wszystkich dzielnicach, podobnie jak i amunicja dla broni ręcznej i maszynowej. W butelki z benzyną były zaopatrzone nawet dzieci. Wojskowe sfery niemieckie tłumaczyły się oporu Polaków umiejętnością dowodzenia i skrupulatnym przygotowaniem obrony całych ulic i poszczególnych domów. Polski plan walki został oparty na warszawskiej sieci kanalizacyjnej, która była drogą transportu i łączności. Dowództwo niemieckie nie rozporządzało planami podziemnych kanałów Warszawy i dopiero po sprowadzeniu z Berlina specjalnych oddziałów technicznych, zaczęto systematycznie zatapiać jedną część sieci kanalizacyjnej po drugiej, po czym można było przystąpić do łamania oporu na powierzchni przez burzenie bloków kamienia.

Najobszerniejsze sprawozdanie podaje „Deutsche Allgemeine Zeitung” z dnia 11 września 1944:

„Popołudniowy ruch w dniu 1 sierpnia był bardziej ożywiony niż zazwyczaj. Zwracamy uwagę szczególnie liczne grupki cyklistów. Patrole tajnej armii — tzw. „Krajowej” — pisze niemiecki korespondent, — zajmowały wyznaczone pozycje. Obsadzają one w grupkach po pięciu ludzi domy naprzeciwko urzędów niemieckich, garaże, oraz poddasza na głównych ulicach. Składy ubrań i żywności zostały otoczone i pilnie strzeżone”.

Około godziny 4.30 po południu zaczęło się w śródmieściu. Kilka głupich strzałów — jak tyle razy przedtem — czy naprawdę hasło?

Wóz policyjny z kilku oddziałami pędzi z centrum ku przedmieściu. Straży z domów zabijają prawie całą załogę wozu. Rewolta się rozpoczęła. Wszystkie dojazdy do miasta zostały zamknięte i zabarykadowane. Małe stacje policji niemieckiej załamują się pod atakiem. W jednym z magazynów pada pełny pęk skład kamizelek ochronnych, mundurów, czapek i okularów SS. Tłum szybko przebra się w niemieckie uniformy. Zatrzymują wozy nie-

mieckie wyjeżdżające zza węgla, zabijają woźnicę i zdobywają ładunek”.

W dalszym ciągu korespondent opisuje, jak niemieckie wozy pancerne spotykają się z zienacką z ostrzażem oddziałów SS (poprzebieranych powstańców) i jak w ciągu już kilku pierwszych godzin poważnie ilości sprzętu i amunicji wpadają w ręce powstańców. Pożółci rewolucji ogarnia całe miasto. Żołnierze niemieccy wycofują się do izolowanych punktów oporu, które atakowane pociskami zapalającymi kapitulują jeden po drugim. Na



Warta przy wejściu do piwnicy, gdzie mieściła się przez pewien czas główna kwatera Armii Krajowej.

drugi czy trzeci dzień powstania większość pozycji niemieckich pada. Utrzymać się tylko pałac Brühlowski, będący siedzibą gubernatora i rozporządzający siłą załogą, oraz urząd telegraficzny. Przyczyną tych sukcesów prasa niemiecka widzi w obsadzeniu dachów domów na głównych ulicach przez wyborowych strzelców, posiadających karabiny z teleskopem celowniczym. Eberhard Schulz, wojenny korespondent niemiecki, podaje dosłownie: „Byli wyłowieni, mieli poważny zapas amunicji, przygotowany uprzednio plan działania i fanatyzm”.

Stacja radiowa, utrzymująca łączność powstańców z światem zewnętrznym znajdowała się w podziemiach starego ratusza. Na ulicach ukazała się prasa podziemna, a mury domów pokryły plakaty nawołujące do walki. W pierwszych fazie powstania armia podziemna utrzymywała zajęte terytoria, a gdy samoloty bombardujące typu „Stuka” rozwały domy, załoga w podziemiach i za załomami murów wytrzymywała niemieckie uderzenia.

„W podziemnym państwie powstańców — pisze dalej Schulz — istniał jakby stan totalnej mobilizacji mężczyzn, kobiet i dzieci: ten przynosił wodę, gotował żywność w kuchni polowej, inny jeszcze działał jako postaniec, przebiegając ulice pod oknami. Było dość ludzi wszelkiego wieku i obojga pici do noszenia amunicji. Wśród mieszkańców dążył do rozwolonych kamienic panowała fanatyczna wiara, że walczą oni o sprawę zwycięską. Jaka była ich liczba? Warszawa miała więcej ludności niż by zdawało się, że może pomieścić, i w ostatniej fazie powstania było w niej co najmniej milion ludzi. Cyfra ta nie obejmuje właściwej podziemnej armii, która wmaszerowała w miejskie wały kamienia”.

„Po dwóch tygodniach wołania o pomoc dosięgły świat zewnętrzny. Nie było jeszcze braku wody lub żywności, ale skończył się chleb i pod koniec walki nie sposób było go dostać. Straszliwy odr ludzkiej ciał rozkładających się w podziemiach, mieszal się z gryzącym dymem płonących domów, który dzielnicę staromiejską otaczał przesłaniającą wszystkim wałem. Ludność cywilna działała jako potężny motor akcji za młodzieńczymi szturmowcami tajnej armii. Było widoczne, że zamierzano wprowadzić do akcji totalnie zmobilizowane masy powstańcze. To, co się stało i czego doznał Niemcy, był to zaledwie fragment wielkiego planu...”

W dalszym ciągu Schulz daje relację z położenia po stronie niemieckiej, tu jednak stara się ukryć wielką przewagę broni, decydującą rolę lotnictwa, jak również braku amunicji po stronie polskiej, uniemożliwiający wprowadzenie mas ludności do walki:

„Co znajdowało się po stronie niemieckiej? Trochę ciężkiej broni, kilka samolotów nurkujących, kilka baterii moździerzy. Później doszło trochę dział, lecz na ogół to samo uzbrojenie było używane do kontrataków, co po przeciwnej stronie”.

Oto opis metody walki: „Specjalny oddział strzelców wyborowych otwiera nam przejście przez ulicę. Najpierw oczyszczamy drogę w kierunku miasta. Stąd przebijamy się dalej w kierunku na most na Wiśle, aby zapewnić dostawę na front, który znajduje się tutaj w odległości paru tuzinów mil. Następnie otaczamy bloki domów. Gdy całe bloki zostają zniszczone, a buntownicy walczą dalej wszelkimi rodzajami ognia i granatami ręcznymi, musimy ich wykurzać z gniazd oporu tymi samymi środkami. Trzeba było walczyć o każdy

kamień i o każde okno. Krok za krokiem przeżarła sobie płomienie drogę z przedmiotu do śródmieścia, którego ulice tak jak od wieków — osłaniają serce oporu jakby naturalnym pancernem z kamienia”.

Inny korespondent niemiecki, Heinz Reisky, opisuje ostatnie fazy walki: „Pierwszeństwem było dookoła Warszawy północnej — najmocniejszego gniazda oporu — zamknąć się. Kilkaś metrów w kwadrat — oto, co pozostało jako gniazdo oporu.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

RĘKA UMARŁEJ

Na wschodzie gwiazda spadająca wzwyż
już tonie w mleku rosnącego światu,
a jeszcze wyżej Południowy Krzyż
nurza się w niebie barwy antracytu.

Koło mnie cyprys, niby mroku stróż,
stoi posepny, głową w gwiazdach tonie,
jam też posepny, gdy wiem wszystko już,
i ręce łamię, stoje na balkonie.

Od wschodu z wiatrem leci sina mgła,
w ręku mam pustą już szklankę od wina,
i nagle błysła w załamaniu szkła
gwiazda, co właśnie tamtą przypomina.

Gdy ktoś odleci poza bytu kres,
może mu z czoła taka gwiazda spadnie?
Lecz nie — to była jedna z moich łez,
co w reszcie wina zagłaska mi na dnie.

I znów powiała srebrno-sina mgła
i jakimś kształtem mnie dotknęła miękka.
O, powiedz, miła, czy tyś tędy szła,
na moich włosach czy to twoja ręka?...

Na wschodzie różą zapłonil się świt
i słonce pełną wylało się misą.
Szklanka szluzcowa. Mgłelny przysnął mit.
Ręką dotknęła mnie gałąś cyprysu.

BALLADA

„Dowidzenia, droga żono”, —
mówię, idąc na ochłaje.
(Zmień tę minę przerażoną,
wiem, że ci się serce krwaje).

„Mój kochany, mój jedyny,
idź do łóżka, weź chiniwy”. —
„Miła: ochłaj — ciężka praca,
rzadko z tego się powracają”.

„A czy przyślesz, drogi mężu,
z tej wędrowki podarunek?” —
„Jeśli siebie przezwyciężę,
to ci przyślę pocałunek”.

„Ja chcę ciebie mieć przy sobie,
przecież wiesz, jak ciebie kocham”. —
„Moja miła, jesteś w grobie,
ja poczekam jeszcze trochę”.

„Miły, chwilke się zastanów:
pojedziemy przez Muranów,
na Nalewkach, Nowym Świecie
wyratuję male dzieci”.

„Twoje dzieci bezimienne,
twoje dzieci beztriumienne,
odgrzebywać ich nie będę,
niechaj rosną mi w legendę”.

„Gdy w legendę ci urosną,
będziesz groby kopał wiosną”. —
„Grób wykopię tobie, sobie
i spocniemy w jednym grobie”.

„Grób wykopać — ciężka praca...” —
„Dobrze, że się nie powracają...”



Na jednym z grobów na podwórku warszawskiej kamienicy znajduje się napis „Mieszkaniec drugiego piętra”.

NIEMCY O POWSTANIU W WARSZAWIE

Mimo to wezwanie niemieckie do poddania się zostało odrzucone”.

„W kilka minut skryta walka przeciwko zabarykadowanym strzelcom i śmierci cyhających z setek okien, poddaszy i dziur piwnicznych zamienia się w walkę o centrum nerwów oporu, walkę o sztab i komendę. Cztery razy w ciągu jednego dnia podejmują Niemcy szalone ataki na blok giedy. Zdawało by się już, jakby sukces nigdy nie miał przypaść wytrwale atakującym oddziałom. Ów najmoc-

niejszy bastion zostaje przez powstańców po wtórnie odbity, choć przez długi czas ludzie zamknięci w owym gnieździe byli bez wody i jedzenia... Nieprzewidywalny grad bomb pada na planące domy, niezmordowanie biją niemieckich moździerzy. Jedna za drugą idą salwy artylerii. Czołgi torują sobie drogę do barykad. Gniazdo oporu utrzymuje jednak swój ogień i walka znowu zamienia się w indywidualne starcie żołnierza z żołnierzem”.

„Wtem jak pożar po stepach biegnie z głównej kwatery oddziałów niemieckich oble-



Jeńcy niemieccy wzięci do niewoli przy zdobyciu stacji policyjnej w śródmieściu.

gających Warszawę-północ, wiadomość, że północne gniazdo skapitulowało. Nieustanne ciosy niemieckich oddziałów szturmowych i ciężka maszynowa wojenna stworzyły piekło, jakiego nie doświadczyło żadne miasto”.

We wszystkich relacjach niemieckich widział rosnący coraz bardziej szacunek dla polskich „fanatyków”. Obrona Warszawy wzbudziła podziw wroga, po paru zaś tygodniach walki, kiedy Polacy zdobyli mosty i nawet część Pragi na wschodnim brzegu Wisły, bitwa warszawska nabrała poważnego znaczenia strategicznego. Nikła jednak pomoc lotnicza i brak ofensywy sowieckiej przekreśliły ten sukces, uniemożliwiając utrzymanie połączeń z Pragą.

Po zakończeniu walki eksperci wojskowi przeprowadzili specjalne studia nad metodą obrony Warszawy, ażeby wyciągnąć wnioski pożyteczne dla przyszłej walki podziemnej miast niemieckich. Ta tylko jest różnica, że podczas gdy Polacy walczyli o wolność i polską swęj stolicy z najwyższym poświęceniem, miasta niemieckie kapitulują jedne po drugich i zdarzyło się nawet, iż pewne miasto skapitulowało... przez telefon. Całość walk powstania warszawskiego stanowił jedynie swego rodzaju fakt współczesnej wojny. Z Warszawy może być porównany tylko Stalingrad, w Stalingradzie jednak walczyła regularna armia o normalnym zaopatrzeniu, posiadająca zaplecze i dowóz broni, podczas gdy Warszawa musiała poradzić się na swego wroga nieomal z gołymi rękami i bić się w całkowitej izolacji i niemal bez pomocy zewnętrznej.

Prasa niemiecka ogłosiła również prawdziwe nazwiska dowódców oddziałów Polskiej Armii Podziemnej, walczących w Warszawie. Głównym trzonem organizacji wojskowej powstania warszawskiego był tzw. Korpus warszawski Armii Krajowej. Na czele Korpusu stał generał „Nurt”, używający także pseudonimu „Monter” (gen. Antoni Chruściel). Obowiązkami jego zastępcy pełnił pułkownik „Wachnowski” (Karol Ziemiński). Korpus warszawski składał się z trzech dywizji: z walczącej na Żoliborzu 8. dywizji piechoty, dowodzonej przez płk. „Żywiec” (płk. Niechleński), z 10. dywizji piechoty, która obsadzała Mokotów i na której czele stał „Karol” (płk. Rybicki) oraz z 28 dywizji piechoty, dowodzonej przez „Radwaną” (płk. Edward Pfeifer).

Paryski tygodnik „Carrefour” zamieszcza wywiad R. Fajansa z dwiema kobietami, które były w Warszawie nocnymi świadkami powstania. Wywieziono je do Niemiec, udało im się jednak wydostać do Miluzy, gdzie wkrótce po ich przybyciu weszły wojska alianckie. Opowiadają one, że powstanie warszawskie rozpoczęło się nad wieczorem dnia 1 sierpnia.

Już około godziny 3 po południu młodzi chłopcy na rowerach przebiegali ulicę miasta ostrzegając, że o godzinie 5-tej należy zamknąć sklepy i opróżnić ulice. Mieszkańców miasta ogarnęło podniecenie, nie przeczuwali jednak co się święci. O godzinie 5-tej wstrząsający miastem cios detonacji, po których już słychać było niustanne wybuchy granatów i strzały. Na mieście ukazały się oddziały Armii Podziemnej, ubrane w niemieckie i zdobyczne mundury i hełmy, z przepaskami biało-czerwonymi na ramieniu. Od pierwszego wieczoru funkcjonowały regularnie punkty opatrunkowe, szpitale, piekarnie i kuchnie. W dwunastu wielkich gmachach opróżniono dwa pierwsze piętra dla pomieszczenia szpitali polowych. Materace i pościel zostały dostarczone przez ludność cywilną. Cała tajna organizacja sanitarna wyłoniła się z podziemi i siostry i le-

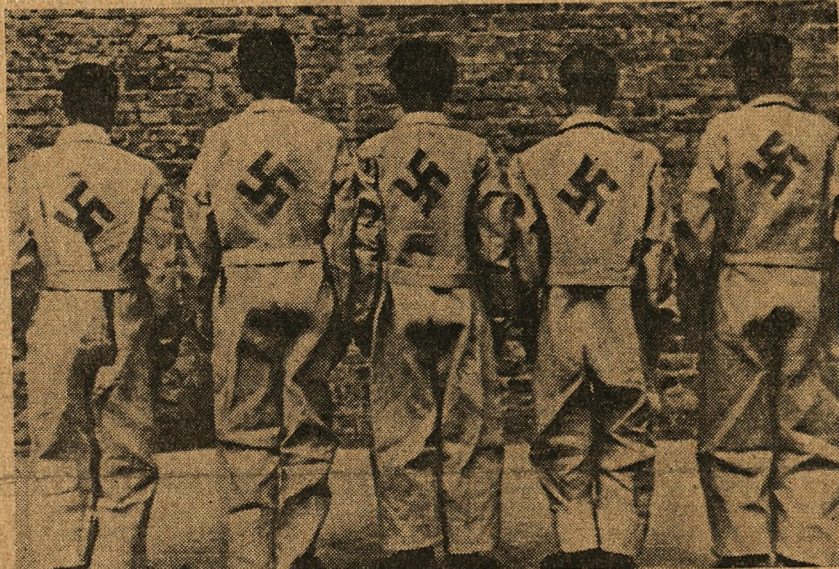
karze objeli służbę. Kuchnie żołnierskie zaopatrzono w żywność, znalezione w składach niemieckich, ponadto ludność cywilna oddawała połowę swojej racji żywnościowej na rzecz wojska.

Już dnia następnego po wybuchu powstania ujawniła się prasa podziemna, ukazując się odtąd niemal codziennie aż do końca walki. Na ulicach zainstalowano głośniki, które dawały wiadomości o sytuacji wojskowej i informację z krążył szprymierzących. Po opowiadaniu budynku PKO przy ulicy Świętokrzyskiej, umieszczono tam główną kwatę.

Liczni Niemcy dostali się do niewoli. Używano ich do noszenia wody do szpitali, w kuchniach i w piekarniach. Wszyscy oni nosili czerwone swastyki wymalowane na plecach. Kiedy w późniejszych dniach powstania jeńcy zaczęli skarżyć się na brak żywności, obdarzono ich ironicznie egzemplarzami niemieckich kart żywnościowych, które w hitlerowskiej Warszawie dawały specjalne przywileje.

Poległych żołnierzy grzebano na ulicach, toteż na placu przy ul. Złota znajdował się grób jednego z pułkowników Armii Podziemnej i jego żołnierzy. Niemcy posługiwali się w walce ciężkimi działami, czołgami, autami pancernymi, miotaczami płomieni, moździerzami i setkami samolotów, podczas kiedy Polacy poczynili walkę mając tylko broń ręczną. Podczas zmagania z Niemcami zdobyto znaczną ilość karabinów maszynowych, czołgów i dział, ale tylko niektóre z nich udało się naprawić i użyć w boju. Niekiedy ludność padała ofiarą niemieckich podstępów. Tak np. otoczono pewnego dnia opuszczony czołg niemiecki. Okazało się, że był to tank kierowany radiem na odległość i naładowany materiałami wybuchowymi. Eksplozja wyrzuciła wielkie straty wśród ludności.

Okołice placu Napoleona były dosłownie zarzucone zniszczoną bronią i żelastwem. Ulica Szpitalna przedstawiała jeden wielki cmentarz czołgów. Po kilku dniach bombardowania całe dzielnice stały w płomieniach. Od ósmego dnia



Jeńcy niemieccy musieli nosić swastyki wymalowane na plecach, tak jak przedtem Polaków zmuszano do noszenia litery „P”, a Żydów — gwiazdy Dawida.

JAN WADELOTA

Pieśń chłopca żydowskiego^{*)}

Zabity jest Saul, poraził go wróg,
Odcięta jest głowa Saulowa.
Nad głową odciętą króluję krak,
Szerzelnia królowska głowa.

Pamiętam — cały z cedru dom
Woniał przez sen żalobnie.
Wokoło noc i mirry woń
I palą się pochodnie.

W cedrowym domu szleści strum
I woń i dźwięki
I w żarzącym blasku łun
Żelaza szczęki.

Zginęli wszyscy. Mężę, niewiasty,
Starczy i dzieci małe,
Palą się w zimnym niebie gwiazdy,
One tylko zostały.

Pytają mnie — A dokąd droga?
A może ci się śniło?
Ja jeden wiem, że nie ma Boga
I nigdy go nie było.

Nie było go, gdy ludzkie głowy
Padły skoszone.
W czarne, głębokie śmierci rowy —
Głowy skrwawione.

Nie było go w ciemnowym dymie
Palonych ciał i w mroku komór.
Twe imię — Noc, Twe imię — Pomór,
Pożar — Twe imię.

A teraz jak, który zostałem,
Jak zwierzę ściganym,
Stałem się tylko drzącym ciałem,
I krwią upływam przez rany.

A teraz cienie ze wszystkich dróg
Za mną, jak szpadar adeptany,
I modlę się, ażeby mogł
Pod ziemię skryć się twarz.

*) W drugą rocznicę powstania w warszawskim ghetcie przedrukowano w dwa wiersze z wydanego w podziemnej Warszawie zboru wierszy pt. „Z etchiani”.



Typowy obraz warszawskiej ulicy podczas powstania.

walki zabrakło wody i prądu elektrycznego, ludność zaś żyła w piwnicach, wychodząc z nich tylko w nocy. Parokrotnie ukazywały się nad miastem samoloty alianckie budzące nadzieję pomocy. Księża, kreśląc znaki krzyża w powietrzu, błogosławili lotników zestrzelianych przez niemiecką artylerię. Pod koniec oporu zdarzaly się liczne wypadki oblędu. Uczestniczka powstania cytując wypadek, kiedy policja powstańcza spotkała pewnego dnia na ulicy kobietę niosącą walizkę i wołającą: „Znalazłam skarb, wielki skarb!” Gdy ją zatrzymano, ażeby sprawdzić, co znajduje się w walizce, okazało się, że niosła tam nogę i rękę swego dziecka oderwane przez pocisk. (JW)



Jeńcy niemieccy musieli nosić swastyki wymalowane na plecach, tak jak przedtem Polaków zmuszano do noszenia litery „P”, a Żydów — gwiazdy Dawida.

JAN WADELOTA

Pieśń chłopca żydowskiego^{*)}

Zabity jest Saul, poraził go wróg,
Odcięta jest głowa Saulowa.
Nad głową odciętą króluję krak,
Szerzelnia królowska głowa.

Pamiętam — cały z cedru dom
Woniał przez sen żalobnie.
Wokoło noc i mirry woń
I palą się pochodnie.

W cedrowym domu szleści strum
I woń i dźwięki
I w żarzącym blasku łun
Żelaza szczęki.

Zginęli wszyscy. Mężę, niewiasty,
Starczy i dzieci małe,
Palą się w zimnym niebie gwiazdy,
One tylko zostały.

Pytają mnie — A dokąd droga?
A może ci się śniło?
Ja jeden wiem, że nie ma Boga
I nigdy go nie było.

Nie było go, gdy ludzkie głowy
Padły skoszone.
W czarne, głębokie śmierci rowy —
Głowy skrwawione.

Nie było go w ciemnowym dymie
Palonych ciał i w mroku komór.
Twe imię — Noc, Twe imię — Pomór,
Pożar — Twe imię.

A teraz jak, który zostałem,
Jak zwierzę ściganym,
Stałem się tylko drzącym ciałem,
I krwią upływam przez rany.

A teraz cienie ze wszystkich dróg
Za mną, jak szpadar adeptany,
I modlę się, ażeby mogł
Pod ziemię skryć się twarz.

*) W drugą rocznicę powstania w warszawskim ghetcie przedrukowano w dwa wiersze z wydanego w podziemnej Warszawie zboru wierszy pt. „Z etchiani”.

FAKTY I KOMENTARZE

Roosevelt i Truman

Śmierć prezydenta Roosevelta nastąpiła nieoczekiwanie. Jeszcze rano dnia 12 kwietnia Prezydent czuł się doskonale i zamierzał spędzić popołudnie w domu wiejskim jednego ze swych przyjaciół, burmistrza miejscowości Warm Springs, gdzie miał słuchać koncertu amatorskiej orkiestry smyczkowej. Około godz. 1-ej po południu Prezydent dostał silnego bólu głowy, wkrótce potem stracił przytomność, a o godz. 3,35 już nie żył.

Franklin Delano Roosevelt był trzydziestym pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Historia Ameryki liczy już 39 kadencji prezydenckich, rozpoczętych prezydenturą Jerzego Waszyngtona w r. 1789. Różnica między liczbą kadencji, a liczbą prezydentów wynika stąd, iż niektórzy prezydenci zmarli w okresie urzędowania, niektórzy zaś sprawowali swe obowiązki przez dwie kadencje.

Prezydent Roosevelt wyjechał do Warm Springs, żeby tam w spokoju opracować przemówienie, jakie miał wygłosić przez radio tegoż samego dnia. Tematem przemówienia miało być „dzieło, jakiego już dokonał” oraz „dzieło, jakie jeszcze na niego czeka”. Miał więc Roosevelt powiedzieć, że stoi przed nim zadanie znacznie większe niż zakończenie obecnej wojny — zadanie położenia kresu nowym wojnom. W tekście pozostawionym przez Roosevelta znajduje się następujące oświadczenie: „My jako Amerykanie nie myślimy o uchylaniu się od naszej odpowiedzialności, ani też nie zamierzamy zrezygnować z naszego postanowienia, żeby nie było trzeciej wojny światowej za życia naszych dzieci. Dziś góruje nad nas przeświadczenie, że jeżeli cywilizacja ma być zachowana, musimy rozwijać umiejętności wzajemnych stosunków między ludźmi — zdolność wszystkich ludzi wszelkiego rodzaju do współpracy i współpracy w jednym wspólnym świecie pokoju”.

Uderzające jest podobieństwo myśli między zdaniem, jakie zamykał ostatnie niewygaszone oświadczenie Roosevelta, a uwaga, która znalazła się w jego pierwszej deklaracji prezydenckiej, złożonej po objęciu urzędu w dniu 4 marca 1933 r. W dzień swojej śmierci Roosevelt napisał, że „jedynymi ograniczeniami naszych jutrzejszych planów są nasze dzisiejsze wątpliwości”, podczas gdy w r. 1933 oświadczył, że „jedyną rzeczą, której mamy się obawiać, jest sama obawa”.

W cztery godziny po śmierci Prezydenta Roosevelta następcą jego, Harry S. Truman, został przysięgł w Białym Domu w obecności członków gabinetu, stając się w ten sposób trzydziestym drugim prezydentem Stanów. Zgodnie z postanowieniami konstytucji Stanów urząd wiceprezydenta pozostaje wolny aż do następnego wyboru prezydenckiego. Ustawa uchwalona przez Kongres przewiduje, że w tym wypadku, w razie przedwczesnej śmierci prezydenta, urząd jego obejmuje sekretarz stanu, co nadaje specjalne znaczenie osobie Stettinusa. Dalsza kolejność następstwa ustalona jest jak poniżej: sekretarz skarbu, sekretarz wojny, najwyższy prokurator, dyrektor poczt.

Truman urodził się w Lamar w stanie Missouri w r. 1884, do życia politycznego wszedł w r. 1922, kiedy wybrano go sędzią. Następnie studiował prawo w Kansas. Pozostając w ramach życia politycznego swej rodzinnej prowincji, stał się kandydatem partii demokratycznej do Senatu, do którego też wszedł w r. 1934. Powtórny wybór otrzymał ze stanu Missouri w r. 1940. Pracując w Senacie w r. 1941 Truman stanął na czele komisji, mającej badać wszystkie kontrakty związane z obroną państwa.

Polityczne oblicze Trumana można w pewnej mierze odgadnąć z jego głosowania w Senacie. Mianowicie w r. 1935 głosował za udziałem Stanów Zjednoczonych w międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości, poparł bill regulujący stosunki między pracodawcą i pracownikiem, po czym w dalszym ciągu odawał swój głos za społecznymi reformami Roosevelta. W r. 1941 głosował za zarządzeniami Roosevelta, mającymi na celu przygotowanie Stanów Zjednoczonych do obrony, następnie wypowiedział się za rządową kontrolą cen, wreszcie w r. 1944 stanął w obronie wielkiego dzieła TVA (Tennessee Valley Authority).

Po objęciu urzędu Truman zwrócił się z obszernym adresem do Kongresu, umieszczając m.in. w przededniu zbliżającej się konferencji w San Francisco następujące słowa: „Wielkie państwa mają specjalną odpowiedzialność zabezpieczenia pokoju, opiera się on jednak na organizacji wszystkich państw, zarówno dużych jak i małych, mającej wyłączyć używanie siły ze stosunków międzynarodowych poza wypadkiem stania się w obronie prawa. Zadaniem wielkich państw jest służać ludom świata, a nie panować nad nimi”. W zakończeniu tego oświadczenia Truman powiedział: „Dziś Ameryka stała się jedną z najpotężniejszych sił walczących na ziemi o dobro. Musimy to utrzymać. Uzyskaliśmy bowiem przewodnictwo w świecie, które zależy nie tylko od naszej siły wojskowej”.

Ucho igielne

W dniu 7 listopada 1945 r. wygasa sowiecko-turecki układ przyjaźni, podpisany w Paryżu w roku 1925 z mocą obowiązującą na lat 20. Moskwa jednak już w końcu marca br. zawiadomiła ambasadora tureckiego w Sowieciech, iż nie zamierza odnowić dotychczasowego traktatu, jako nie odpowiadającego nowej sytuacji wytworzonej przez drugą wojnę światową. Temu oświadczeniu towarzyszyły ataki prasy sowieckiej na politykę turecką, zarzucające, iż Turcja nie była dość zdecydowana, by pomóc aliantom w krytycznych chwilach, późne zaś przystąpienie do wojny z Niemcami nie może zrekompensować zawartego z Rosją traktatu przyjaźni w dniu 17 czerwca 1941 r., a więc na cztery dni przed atakiem Hitlera na Rosję.

Niewątpliwie poza demonstracją sowiecką leży chęć uzyskania od Turcji swobodnego przejścia dla swej floty wojennej na Morze Śródziemne poprzez udostępnienie Sowiecom cieśniny Bosforu i Dardanell. Przyznanie jednak szczególnych przy-

wilejów okrętom sowieckim naruszyłoby postanowienia konferencji w Montreaux, której sygnatariuszami była m. in. Anglia i Francja, jako państwa zainteresowane w komunikacjach śródziemnomorskich. Tak więc sprawa nie zamyka się między Turcją a Rosją, lecz dotyczy rozległego zagadnienia międzynarodowego, zwłaszcza zaś żywotnych interesów angielskich.

Anglia i Morze Śródziemne

Tradycyjna polityka angielska starała się zapewnić flocie brytyjskiej możliwie mocne stanowisko na morzu, leżącym na szlaku połączeń imperialnych. Stąd też w dużej mierze wynikała polityka Anglii w konfliktach rosyjsko-tureckich, ograniczająca uzyskiwane w wojnach z Turcją sukcesy rosyjskie, w imię utrzymania względnej choćby równowagi między obydwojma przeciwnikami i nie wpuszczania okrętów carskich na Morze Śródziemne.

Rosja w ciągu wieków swej historii usiłowała uzyskać wyjście na Morze Śródziemne. Pierwotnie, w okresie hegemonii tureckiej w południowo-wschodniej Europie, ambicje rosyjskie ograniczały się do prawa swobodnej żeglugi handlowej na Morzu Czarnym, opanowanym wówczas przez Imperium Otomańskie. Katarzyna II zdobyła dla Rosji prawo przepływu statków przez cieśniny, a w r. 1799 rozszerzono zgodę turecką także i na okręty wojenne.

Ten sukces rosyjski wywołał zmianę polityki mocarstw europejskich wobec Turcji; poczynione ochraniać ją przed agresywnością rosyjską, a nie dopuszczenie floty rosyjskiej na Morze Śródziemne było celem wysiłków zarówno Palmerstona, jak i Disraeliego, w końcu zaś doprowadziło do udziału Anglii w wojnie krymskiej.

Wielka wojna zmieniła sytuację, czyniąc Anglię i Rosję aliantami, Turcję zaś stawiającą w obozie niemieckim. Jedną z zapłat za walkę z Niemcami miało być oddanie Rosji Konstantynopola, spełnienie starych marzeń władców Moskwy. Przewrót komunistyczny wprowadził jednak na krótki czas również i do polityki zagranicznej Rosji pewne doktryny idealistycznego socjalizmu. Nowa Rosja komunistyczna z naciskiem głosiła zasadę samostanowienia narodów i zrezygnowała z wszelkich aneksji dokonanych na Turcji, co stało się podstawą zmiany stosunków rosyjsko-tureckich. Miejsce tradycyjnej wrogości zajęło pokojowe współzyscie i dobre sąsiedztwo.

Równocześnie polityka Lloyd George'a, popierającego ambicje greckie, dążyła do poddania Konstantynopola i cieśnin kontroli państw zachodnich, właściwie zaś po prostu Grecji i sprzymierzonej z nią Wielkiej Brytanii. Wojna skończyła się klęską Greków, a sukcesem Kemalistów, czemu w danym momencie Anglia nie mogła przeciwstawić dostatecznej siły dla obrony cieśnin. Stojąca tam załoga międzynarodowa uległa osłabieniu po demonstracyjnym wycofaniu oddziałów francuskich i włoskich — zwłaszcza Włochy już wtedy niechętnie widziały ewentualne wzmocnienie pozycji Grecji i Anglii na Morzu Śródziemnym.

Traktat w Lozannie

Sytuację ocaliła zdecydowana postawa Lloyd George'a, grożącego Turcji wojną w obronie postanowień Wersalu i wzywającego pomocy Dominów. Doszło do kompromisu, którego wyrazem był Traktat Lozański, podpisany 23 sierpnia 1923. Turcja odzyskała Smyrnę i Wschodnią Trację w Europie, cieśniny zaś zostały zdemilitaryzowane, równocześnie zaś stosunki rosyjsko-tureckie oparto na wcześniejszym zawartym układzie przyjaźni.

Postanowienia lozańskie, zabraniające Turkom fortyfikacji cieśnin, zachwiały się z chwilą, gdy wejście wojsk hitlerowskich do Nadrenii przekreśliło traktat wersalski. Demilitaryzacja cieśnin i sąsiadujących wysp zabezpieczała łączną gwarancja aliancka — sprawa Nadrenii wykazała jej słabość i podkreśliła potrzebę zmiany statutu z Lozanny. Obawiając się jednostronnej akcji ze strony Turcji i jej powrotnego zbliżenia do Niemiec, uwzględniłono żądania tureckie.

Wielka Brytania, ze względu na naprężone stosunki z Włochami, witała życzliwie wzmocnienie Turcji, Francja zaś popierała swego nowego alianta, Rosję, w uzyskaniu ponownych korzyści. Konferencja zwolana w Montreaux, spotkała się z poparciem przez Rosję propozycji turecką zabezpieczenia Turcji przez nowy układ ograniczający i utrudniający dostęp do Morza Czarnego. W istocie rzeczy szło o Rosję, pragnącą uczynić Morze Czarne — morzem wewnętrznym z punktu widzenia interesów wojskowych. Zamknięcie przejścia przez Dardanele dla wszelkich innych okrętów wojennych poza okrętami państw przybrzeżnych wraz z ufortyfikowaniem cieśnin dawało flocie sowieckiej możliwość bezpiecznego wycofania się, przy ewentualnej walce na Morzu Śródziemnym, poza zasłone cieśnin. Toteż delegacja brytyjska dążyła do traktowania i cieśnin i Morza Czarnego jako wód otwartych podległych statutowi wolności morza.

Kompromis w Montreaux

Montreaux zakończyło się kompromisem z dnia 20 lipca 1936 r., na który trzeba patrzeć poprzez sowiecko-turecki układ z listopada 1935 r. miał on spełnić zadanie korzystne dla obu stron: wzmocnić prestiż turecki, uwalniając Turcję od zobowiązań Wersalu, z drugiej zaś strony — dać flocie rosyjskiej mocną i bezpieczną pozycję na Morzu Czarnym — i spełnić to rzeczywiście. Na wypadek wojny, w której Turcja byłaby neutralna, konwencja z Montreaux dopuszczała przejazd przez cieśniny tylko statków wojennych państw udzielających pomocy przeciw agresorowi na podstawie Paktu Ligi Narodów; praktycznie, wobec ufortyfikowania cieśnin, przejazd znalazł się pod kontrolą turecką.

Dziś Rosja uzyskała tak znaczną pozycję na terenie międzynarodowym, że instrument układu z Turcją stracił swe znaczenie. Obok tego polityka obecnej wojny wykazała, że Turcja nie jest dość silna i dość zdeterminowana, by zakazać korzystania z cieśnin agresorowi, jeżeli ten znajduje się w szczytowym momencie swych triumfów. Żądania rosyjskie, skierowane do Turcji, muszą jednak interesować Wielką Brytanię, która nie może być obojętna zjawieniu się naprzeciw Suezowi nowej potężnej floty. Toteż sprawa cieśnin będzie jednym więcej uchem igielnym, przez jakie może przejść brytyjsko-rosyjski pakt dwudziestoletniej przyjaźni.

Efekt propagandowy

Związek Sowiecki w ostrej formie wypowiedział układ z Japonią o nieagresji, jednym zaś z oficjalnych motywów wypowiedzenia była współpraca Japonii z Niemcami w okresie, gdy Rosja broniła się przed agresją Hitlera. Ten zarzut może być równie łatwo interpretowany jako naruszenie układu przez Japonię, co automatycznie zwalniałoby Związek Sowiecki z zobowiązania nieuciekania się do siły w stosunkach rosyjsko-japońskich.

Toteż komentatorzy polityczni rozważają szanse zarówno zaatakowania Japonii przez Rosję, jak i odwrotnie. *Daily Telegraph* ocenia, że raczej Japonia postara posłużyć się zaskoczeniem, ażeby zapobiec użyciu baz rosyjskich przez lotnictwo rosyjskie i amerykańskie dla bombardowania metropolii. Ewentualnej agresji Rosja zdolna jest przeciwstawić pojeźne, wykonane już za czasów sowieckich, fortyfikacje Władywostoku, oraz autonomiczną armię Dalekiego Wschodu opierającą się o własne zaplecze przemysłowe, które już od r. 1937 umożliwilo prowadzenie wojny przez Rosję w Azji, niezależnie od ewentualnej wojny w Europie.

Wypowiedziany 5 kwietnia br. pakt był raczej pomysłem niemiecko-japońskim, niż rosyjskim. Podpisał go w Moskwie 13 kwietnia 1941 r. adm. Tatakawa po przygotowaniu gruntu przez ambasade niemiecką. Do Moskwy przyjechał Tatakawa z Berlina, gdzie mu tłumaczono, iż należy zabezpieczyć się od strony Rosji, po czym „zamknąć drzwi za plecami”, uderzyć na Stany Zjednoczone i Anglię, zanim pancerniki brytyjskie klasy „Jerzy V” wejdą do służby liniowej na Pacyfiku.

Pakt przez długi czas służył Japonii, wywołując naturalne zastrzeżenia opinii amerykańskiej wobec drugiego kontrahenta układu. Obecnie odrzucenie paktu przez Rosję, musi wywołać przychylną dla Sowieców reakcję opinii, zwracającej już dziś całą swoją uwagę ku walce z Japonią, walce, którą dawni izolacjoniści nazywają „prawdziwą wojną amerykańską”.

Rosyjski prezent

Krok ten uczynili Sowiety przed konferencją w San Francisco, wzmacniając jeszcze jego wrażenie desygnowaniem Molotowa na przewodniczącego delegacji rosyjskiej. Pierwotnie głównym delegatem Związku Sowieckiego miał być ambasador Gromyko, co było w jaskrawej sprzeczności z powagą i ciężarem gatunkowym delegacji amerykańskiej i angielskiej. Wyznaczenie ambasadora w Waszyngtonie do reprezentowania Rosji odczuć jako gest lekceważenia tym dotkliwej, że zbiegający się z nieustępliwością Sowiety w sprawie polskiej. Śmierć jednak prez. Roosevelta i wejście do Białego Domu prez. Trumana zmieniło sytuację. Roosevelt mógł swym autorytetem osobistym forsować w Stanach trudne decyzje i świeże przyjaźnie, prez. Truman, w pierwszej przynajmniej fazie swej kadencji, będzie musiał bardziej liczyć się z opinią. Toteż popularność prez. Roosevelta, stojącego za bliską współpracą z Rosją, należało zamienić na popularność bezpośrednią. To właśnie osiąga do pewnego stopnia krok wobec Japonii i wysłanie Molotowa.

Dla Rosji zerwanie z Japonią przynosi miejsce na konferencji pokojowej Pacyfiku, usuwając ponadto czynnik, jaki różnił ją w polityce zewnętrznej od innych Narodów Zjednoczonych. Przy sposobności warto zaznaczyć, że obok Rosji także i Czechosłowacja nie wypowiedziała wojny Japonii po Pearl-Harbour, przeciwnie niż np. rząd polski.

Prasa amerykańska przypuszcza, że Rosja zabezpieczyła sobie także i bardziej konkretne korzyści. *New York Times* sugeruje, iż na konferencji w Jalcie przyrzeczono Rosji aneksję Mandżurii w zamian za udział w wojnie z Japonią. Są również przypuszczenia, że i przyniesienie oczu na załatwienie sprawy cieśnin znajduje się na cenniku zaatakowania Japonii.

Pakt z Japonią

Z drugiej strony — niewypowiedzenie paktu przedłużonyby automatycznie jego znaczenie na lat pięć. W ten sposób Sowiety zademonstrowałyby chęć pozostania w przyjaźni z Japonią, w chwili gdy Narody Zjednoczone mają z nią stoczyć ostateczną walkę. Uzasadnienie, jakim służyłby paktowi ciężar walki z Niemcami, przestał być aktualny; ponadto zachowanie paktu byłoby w jawnej kolizji z zamierzeniami konferencji w San Francisco. Tak więc okoliczności po prostu zmuszały Związek Sowiecki, aby pakt wypowiedział.

Termin ważności układu z Japonią upływa 13 kwietnia 1946 i do tego czasu Rosja może równie dobrze powstrzymać się od wszelkich kroków, jak i zdecydować się na poparcie Stanów Zjednoczonych. Narazie zaś zdyskontowano wypowiedzenie paktu jako posunięcie propagandowe o dużym rozgłosie, chociaż w istocie Sowiety pozostawili sobie wolne ręce. Dla Japonii krok sowiecki brzmi jak poważne ostrzeżenie. W zamian za to, na konferencji w San Francisco Molotow już dał do zrozumienia, że Rosja zainteresowana jest w aneksji lub otrzymaniu mandatów na wyspach Pacyfiku, odzyskanych i zdobytych w wojnie z Japonią.

Nowy rząd japoński

Japonia starała się zapobiec rosyjskiej decyzji. Specjalny wysłannik japoński od dłuższego czasu przebywał w Moskwie, po czym jego powrót z bezowocnej misji był najprawdopodobniej sygnałem dla dymisji rządu premiera Koiso.

Nowy premier japoński, adm. Suzuki, jest wybitną osobistością. Związany z kłami przemysłowymi i handlowymi, pozostawał poza klikami wojskowymi, żądającymi nowych podbojów. W przedwojennym gabinecie ks. Konoye, Suzuki był ministrem bez teki, obecnie zaś otoczył się dawnymi współpracownikami Konoye. Zwraca wśród nich uwagę zwłaszcza nazwisko Kuzei Hirota, dawnego japońskiego ministra spraw zagranicznych.

Na powoływanie premiera i członków gabinetu poważny wpływ miała zawsze sędziwa rada „genro”, przedstawiająca cesarzowi odpowiednie kandydatury. Grupy wojskowe usuwały desygnowanych przez nią premierów skrytobójczymi zamachami lub jawną rewoltą. Po jednej z takich

pałacowych rewolucji, książę Sajondzi, ostatni pozostały przy życiu „genro”, polecił cesarzowi księcia Konoye. Konoye prowadził politykę japońską w r. 1935, musiał jednak ustąpić pracą do podboju ugrupowaniem wojskowym. Japonia zbliża się do Niemiec, podpisuje pakt antykominternowski, atakuje Chiny. W międzyczasie umiera ostatni „genro” i miejsce dawnej rady cesarskiej zajmuje nowa, na której czele staje adm. Suzuki.

Toteż dziś objęcie przez niego urzędu premiera można porównać w znaczeniu i w niezwykłości postępowania z interwencją ks. Sajondzi po zamordowaniu swego czasu premiera przez zbuntowany oddział wojskowy. Wydaje się, że Suzuki został powołany bezpośrednio przez cesarza, który powierzył misję prowadzenia Japonii w obecnej trudnej sytuacji swemu najwyższemu doradcy.

Nominacja admirała Suzuki dała początek pogłoskom o skłanianiu się Japonii do zawarcia pokoju. Przykład wyniszczenia Niemiec nie jest zachęcający, przyszła zaś utrata archipelagu malajskiego postawiłaby Japonię w sytuacji surowej i żywnościowej znacznie dotkliwszej, niż w jakiej znalazły się Niemcy po utracie swego europejskiego *Hinterlandu*.

Sir Robert Graig, ambasador brytyjski w Tokio w latach 1937—40, pisze w *Daily Mail*, że kapitulacja Japonii jest prawdopodobniejsza od niemieckiej. Z drugiej jednak strony, rzecznik japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych, Iguchi, oświadczył zaraz po objęciu urzędu przez adm. Suzuki, że celem nowego premiera będzie doprowadzić do zwycięskiego końca wojny przez użycie środków energiczniejszych jeszcze, niż te, które stosowali jego poprzednicy. Często jednak wiele rzeczy inaczej brzmi gdy słyszy się je tylko z zewnątrz.

W wojennych czasach...

Pismo francuskie *Gavroche* przytacza rozmowę między amerykańskim korespondentem wojennym i dowódcą dywizji, do której korespondent został przydzielony:

— Jeżeli pan będzie raniony, — powitał generał korespondenta — zaopiekujemy się panem. Jeżeli zostanie pan zabity, również przyrzekamy panu opiekę, pogrzebimy pana. Wobec tego właściwie nie ma pan się o co kłopotać, i może się pan spokojnie poświęcić swojej pracy...

Mały Hans jest członkiem Hitlerjugend. Oto właśnie wychodzi z domu, udając się na zbiórki. Matka widząc to, woła: — Słuchaj, Hans, żebyś mi tylko nie odcodził daleko! Hans odpowiada: — O, nie, mam, idę tylko do drugiego końca Wielkiej Rzeszy.

The Times w dosłownym sprawozdaniu z jednej z debat parlamentarnych podaje następującą kontrowersję między dwoma posłami, biorącymi udział w dyskusji nad sprawą dodatków rodzinnych.

Hogg (Oxford): — Nie ma żadnego powodu, ażebyśmy nie mieli być głupi, jeżeli chcemy nimi być.

Bevan (Ebb Vale): — Oczywiście. Należy to uczynić piątą wolnością!

Czy możliwa jest reedukacja Niemiec? Pośrednią odpowiedź zdaje się dawać na to *The Palestine Post* przytaczając następującą anegdotę:

Pewien kapitan amerykański wypyttywał w Kolonii jednego z miejscowych obywateli o stosunek ludności do Hitlera.

Nienawidziłyśmy Hitlera zawsze — oświadczył Niemiec. — Nie przyniósł nam nic poza nieszczęściem. A jeżeli ktokolwiek myśli, że kłamiemy, mówiąc, że nienawidziłyśmy Hitlera przez cały czas rządów nazistowskich; to tylko znaczy, że sam jest ofiarą wstętną, zdegenerowanej, bolszewicko-żydowskiej, pluto-demokratycznej propagandy.

Bomby „trzesienia ziemi”

Jedną z przyczyn załamania się wojennego potencjału Niemiec jest dotkliwe bombardowanie, jakie przeprowadził Anglii przy użyciu tzw. bomb „trzesienia ziemi”. Konstruktor bomb, B. N. Wallis, opowiada w *The Sunday Express* o dziejach swego wynalazku. Początek pomysłu sięga jeszcze r. 1940. Jako inżynier, Wallis widział najsukcesowniej drogę osłabienia Niemiec w niszczeniu kopalń, fabryk benzyny i elektrowni. Dotychczasowe bomby mogły wyrządzać instalacjom fabrycznym względnie nieznaczne szkody, tym samym łatwe do naprawienia. Chodziło o skonstruowanie bomby tak silnej, ażeby wbiła się głęboko w ziemię i swoim wybuchem niejako podminowała całość fundamentów fabryki, działając na podobieństwo trzesienia ziemi, któremu nie może się oprzeć najsilniejsza nawet konstrukcja. Należało rozwiązać problem zawarcia możliwie największej ilości materiałów wybuchowych w możliwie najmniejszej formie i wadze bomby.

Skonstruowanie dziesięcio-tonowej bomby wymagało z kolei istnienia samolotu, który mógłby unieść ten ciężar na znaczną wysokość, oraz dostatecznie dokładnych przyrządów celowniczych. Przed obecną wojną przeciętna waga samolotu bombowego wynosiła od 10 do 15 ton, a więc mniej więcej tyle, ile obecnie waży sama bomba. Dziś udało się dostosować nowy typ Lancaster'a do podnoszenia bomby „trzesienia ziemi”. Zagadnienie celności bombardowania rozwiązane przez prof. Blackett i wynalazek aparatu celowniczego umożliwiły celowanie nawet poprzez chmury, przy czym trzeba pamiętać, że celownik bombowca przesuwają w powietrzu mniej więcej z szybkością 400 stóp na sekundę, tak że opóźnienie jednej dziesiątej sekundy w zwolnieniu bomby z uchwytu już mogło wywołać chybiecie celu.

Pierwszy próby wypadły niepowodzeniem. Zdecydowano więc rzucić bombę naturalnej wielkości, napełnioną materiałem równym w ciężarze środkom wybuchowym. Zrzutu dokonano na tajnej stacji doświadczalnej, po czym 18 ludzi pracowało po 12 godzin przez 9 dni, ażeby wykopać bombę głęboko wbiłą w ziemię.

BERLIN I SAN FRANCISCO

PRZEGLĄD POLITYCZNY

W chwili gdy obecny numer „W Drodze”, w dniu święta narodowego, dojdzie do rąk czytelnika, Berlin nie będzie już stolicą Niemiec. Miasto, odpowiedzialne za rozbiory Polski, za trzykrotną okupację Warszawy i jej barbarzyńskie zniszczenie, symbol prusactwa, siedziba Fryderyków i Wilhelmów, świadek potęgi Bismarcka i Hitlera, wieczna pieśń groźby, wyciągnięta ku naszej granicy — dziś z kolei samo wali się w gruzy, grzebiąc pod sobą reżim nazistowski.

Ktokolwiek zna Berlin, może obserwować każdą kolejną fazę agonii miasta. Pada dzielnica za dzielnicą, płoną lub leżą w prochu pomniki dawnej świetności, podkopy rozbijają zabytki pomnury architektury, budującej zarówno muzeum, jak i kościół, na podobieństwo fortecy czy katedry. Niewątpliwie żołnierze Armii Czerwonej chcą ofiarować Stalinowi na dzień pierwszego maja kapitulację Berlina. Historia bierze odwet: niemieckie bomby rozbiły spokojne Coventry, niemiecka fala zalała Stalingrad i, cofając się w odpywie, zburiła Warszawę. Gdy jednak tamte miasta będą odbudowane, to jedno powinno zostać nietkniętą ruiną, ogrodzoną kołczastym drutem: wygasie źródła zarazy, pamięć niesław, wrzód, który należało dosłownie wypalić, aby uleczyć naród niemiecki z żądz podbojów i okrucieństwa.

Z pewnością nie Sprzymierzeni będą troszczyć się o odbudowę pruskiej stolicy. W okresie okupacyjnym nie będzie Niemców stać na przywrócenie Berlina do poprzedniej postaci, później zaś, gdy świat uzna, że mogą powrócić do społeczeństwa naszej cywilizacji, niemieckie centrum państwowe powinno znaleźć się istotnie w środku Rzeszy. Stolica rozległego państwa położona na wschodnim krańcu była anomalią i samym swym miejscem świadczyła, że jest wynikiem podporządkowania masy niemieckiej jednemu, specyficznemu odłamowi narodu. Z Berlinem leżącym tak blisko granicy, Niemcy mogli zawsze mówić o polskiej groźbie, domagać się bezpiecznych granic strategicznych i podsycać *Drang nach Osten*. Przechylenie środka ciężkości Rzeszy ku wschodowi uzyskiwało rację bytu tylko przy podboju Polski — wtedy Berlin otrzymywał normalne centralne miejsce, a cudzą ziemię, na której go zbudowano, zabezpieczała nowa grabież.

Toteż Rosjanie, jeżeli tylko zrezygnują z teatralnego efektu rządzenia kupą gruzów, będących kiedyś siedzibą Hitlera, swoje władze okupacyjne umieszczą gdzie indziej. Z polskiego punktu widzenia pożądane jest wszystko, co odbiera Berlinowi jego dawne znaczenie, tak samo, jak niebezpieczne jest to, co mogłoby prowadzić do wzniesienia na miejscu dawnej stolicy — świeżego miasta, miasta „nowej demokracji”. By tak się stało, Rosja musiałaby przebaczyć Niemcom.

Dobry jeńcy

Przebaczenie dotyczy tylko prawdziwie winnych i tylko wtedy jest trudne. Ostatnio zaś Moskwa, najgorliwszy — zdawało by się — wyznawca poglądów Vansittarta, zmieniła swoją taktykę. Przycichło o komitecie gen. Paulusa, natomiast rozszerzono możliwości rehabilitowania się przez podnoszenie rąk w górę na widok sowieckiego żołnierza. Iłja Erenburg, pisujący w „Czerwonej Gwieździe” doczekał się nagany ze strony „Prawdy”. Swoją rolę wypełnił — przedstawiał bestialstwo Niemców, akceptował słynne określenie „dobrym Niemcem” jest tylko zabity Niemiec i zapalał żołnierzy do zacieklej walki z narodem barbarzyństwa. Dziś jednak, gdy zwycięstwo jest już bliskie, miejsce problemu walki zajął problem rządzenia i problem wykorzystania sił niemieckich.

Aleksandrow, szef propagandy partii komunistycznej oświadczył, że doświadczenie ostatnich miesięcy wykazało, iż rozejmowi Niemcy walczy i zachowują się w rozmaity sposób wobec Armii Czerwonej. Jedni biją się do ostatniego, drudzy zaś rzucają broń, podnoszą ręce i — czekają na wyzwolenie. Czerwona Armia bowiem — jak pisał Aleksandrow — dąży do zniszczenia hitlerowskiego rządu, państwa i wojska — niosąc pomiędzy wszystkie narody, a więc Niemców także, swą wielką misję wyzwolenia. Jeżeli wszyscy Niemcy są zli, należało by — dość radykalnie — wnioskując „Prawda” — wszystkich wyznaczyć. Skoro zaś jest to niemożliwe, trzeba raczej przyjąć istnienie także i dobrych Niemców, którzy, gdy już w ten sposób istnieją, niewątpliwie zasługują także na wyzwolenie. Ewentualności długotrwałej okupacji i wychowania nowego pokolenia niemieckiego dziennik sowiecki nie dostrzega. Jest to istotnie ewentualność i żmudna i kłopotliwa, ale bodaj że jedynie słuszną w świetle tego, co ukazało światu otwarcie przez Anglików i Amerykanów wewnętrznej tajemnicy Rzeszy.

Równocześnie niemal z wywodem Aleksandrowa o Niemcach, których nienawiść do Hitlera wyraża się w poddawaniu — w szóstym roku wojny — sowieckiemu żołnierzowi, postępy sojuszników na zachodzie ujawniły prawdę obozów koncentracyjnych. Chociaż Buchenwald i Bergen-Belsen są niemal niczym w porównaniu z Majdanem i Oświęcimm, rzeczywistość niemiecka wstrząsnęła światem.

Katowskie pomysły hitlerowskie były tak niesłychane, tak zaprawione zewsząd niechęcią do wyobrażenia, degeneracją nie do pojęcia, że nawet aliancy żołnierze często uważali to za *Greulpropagandę*, mającą podsycać ich nienawiść do przeciwnika. Pamiętano wręcz o fabrykowanej przez propagandę angielską w poprzedniej wojnie historii o niemieckich okrucieństwach, która później okazała się nieprawdziwa. Dziś wszystko jest prawdą. Niemcy pobili rekord pomysłowości przewyższając wszystko, co kiedykolwiek by o nich można powiedzieć. *The Yorkshire Post* z dnia 23 kwietnia przytacza reakcję angielskiego żołnierza, który wyznaje:

„Byłem jednym z tych, którzy nigdy nie wierzyli w owe opowiadania o okropnościach. Nie wierzyłem też temu, co pisano w dziennikach. Dziś jestem po prostu ogłuszony!”

Jeżeli ci, co znali się dla rozkoszy znecania, mają w sobie coś zwierzęcego, ci, znowuż, co hodowali kwiaty w odległości stu metrów od krematoriów i nie przeżywali żadnego odruchu protestu, mają w sobie coś satanicznego. Niemcy ocalili cywilizację o tysiące lat. Jak dziś wychowywać, jak dziś reedukować ludzi spokojnych, pracowitych, posłusznych, ale nieczulych na jeź umierającego dziecka, jeżeli jest to dziecko żydowskie, polskie, rosyjskie, czy jakiegokolwiek innej

rasy? Ciż sami, będąc żołnierzami, wzięci do niewoli, dziwią się, że ich nie głodzą i nie biją. Nie mają bynajmniej poczucia winy i należytej za to kary, uważają jedynie bicie za rzecz naturalną. Ich filozofia życiowa sprowadza się do zasady, że zwycięzca kopie, a zwyciężony leży i jest kopany. Silny powinien zamordować słabszego — jest to uczciwe i słusne, trudno w tym dopatrywać się winy — i pozostaje poddać się losowi, gdy samemu z kolei stało się słabszym.

Pięć po dwunastej

Dlatego też prasa niemiecka, pisząc o konieczności oporu stawiała przed Niemcami wybór śmierci od kuli i śmierci od stryczka. I Niemcy zdają się temu wierzyć. Jeżeli kapitulują, to nie w nadziei lepszej przyszłości, ale dlatego, że dosięgnął szczytu proces znużenia psychicznego, jaki rozpoczął się niepowodzeniem w *Battle of England*. W r. 1940 Niemcy zrozumieli, że wojna będzie ciężka i przewlekła i że, być może, nie wygrają jej nigdy, skoro nie wygrali jej od razu, gdy Fuehrer nie spełnił obietnic szybkiej i łatwej zwycięstwa. Ale wojna trwała zbyt długo i była zbyt ciężka. Dziś mają jej dosyć. I tak, jak na nas nie robi już wrażenia wieść o wzięciu Mussoliniego do niewoli, a San Francisco interesuje bardziej od upadku Berlina, tak i Niemcom staje się wszystko jedno, czy 56-letni Fuehrer ma rację, czy się myli.

Oczywiście, nie wszystkim Niemcom. Ci, których istotnie czeka stryczek, ci, którzy jeszcze są pod działaniem narkotyku Fuehrera, jeszcze walczą. Ale choć bije się do ostatka Berlin, choć na terytorium niemieckim trwają dotąd „kieszenie”: północna, saska i bawarska, dawne *unconditional surrender* straciło już swoje znaczenie. Państwo hitlerowskie wprawdzie nie skapitulowało formalnie, ale rozkłada się i jestesmy świadkami jego rozpadu. Nie poddał się Fuehrer, ale poddał się jego poddani.

Hitler powiedział, że Wilhelm złożył broń kwadrans przed dwunastą, w nim zaś znajdują Sprzymierzeni przeciwnika, który przestanie walczyć dopiero pięć po dwunastej. Nie wiadomo, czy Hitler będzie mógł do końca wykonać swoją zapowiedź... Wojska amerykańskie idą ku górskiej fortecy na granicy Bawarii i Austrii, a Niemcy twierdzą uporczywie, że Hitler walczy i zginie w obronie Berlina, w przedłużaniu bezcelowego oporu. Nie brak jednakże pogłoszek, że w stolicy Rzeszy polegnie bohaterstwo sobowrotu Fuehrera, sam zaś Hitler albo zdoła uciec do Japonii, albo też zniknie, zamieniając się tym samym w postać legendarną, w upragnionego Mesjasza niemieckiej zemsty.

Władzę w resztkach Rzeszy, w trzech pozostałych jeszcze „kieszeniach” sprawuje Himmler. Zwrócił się on ostatnio do zachodnich aliantów z ofertą kapitulacji, trudno jedynie w tej chwili osądzić, czy jest to kuszenie do grzechu, czy też gest rozpacz, który musi z konieczności przeczekać się w poddaniu wszystkim aliantom i wszystkim ich warunkom. Wojna może skończyć się lada dzień i może również dogasać jeszcze jak

stos, na którym spalono czarnoksiężnika. Wojska, przecinające Niemcy, wyraźnie już wybierają kierunki odpowiadające zapowiedzianym sferom okupacyjnym.

Obok tego armie zachodnie zajęły Niemcy środkowe i ścisłe zastosowanie projektów okupacyjnych będzie wymagało pewnych przesunięć wojskowych. W ich przewidywaniu ludność niemiecka ucieka na Zachód, ku zniechęceniu i pogardzanemu Anglosasom, by uciec przed ogniem i mieczem wojsk sowieckich. Pochód Czerwonej Armii, choć polityczne przesłanki rosyjskie mogą zapowiadać Niemcom inną przyszłość, zostawia za sobą to samo, co zostawiali Niemcy, posuwając się w głąb Rosji.

Dzień Zwycięstwa, zgodnie z życzeniem sowieckim, i z zobowiązaniem Anglii niepodpisania osobnego rozejmu, zostanie ogłoszony dopiero po zdławieniu ostatniego źródła oporu. Przedłuża to stan wojny w Niemczech i, kto wie, czy Himmler lub ktoś inny, nie zechce ratować ludności nakazując zaprzestania walki.

Wówczas rozpocznie się regularna okupacja z wszystkimi jej drażliwymi kwestiami. Wtedy też dowiemy się, czy — na tle ostatnich rozdzwień — alianci będą zdolni do jednolitej polityki we wszystkich strefach okupacyjnych, czy też przez powojenne Niemcy przebiegnie linia podziału upodabniająca rozcięte części do północnej i południowej Grecji.

Front wschodni, uważany stale przez Rosjan za front numer jeden, połączył się na linii Berlin—Drezno z tak długo oskarżanym o opieszałość „drugim frontem”. Równocześnie wojska niemieckie we Włoszech znajdują się w przededniu końca, atakowane od południa przez VIII Armię, demoralizowane wieściami z Berlina, rozsadzane od wewnątrz przez partyzantów, opanowujących główne miasta Lombardii.

Na tym tle śmierć Mussoliniego zmalała do symbolicznego już tylko epizodu, którego bardziej forma, niż treść, wywołała wrażenie. Zdawało by się, że niemal pragnęlibyśmy, aby dawny twórca i wódz faszyzmu zeszedł ze sceny politycznej, gdzie grał swą rolę buffo, w sposób efektowniejszy od owego krwawego, ale prawie tragi-komicznego, zaprzeczenia hasła: „Il Duce a sempre ragione”, jakim był rodzaj jego śmierci! Małość przeciwnika pomniejsza i wielkość zwycięstwa.

Owa doraźna egzekucja, ów trup rzucony na plac publiczny, odsłaniała brutalnie prawdę stosunku wrośkiego ludu do swego dyktatora, gdy tylko kontakt między dwiema stronami mógł stać się bezpośredni, tzn. nieutrudniany przez karabinierów, partyjną milicję i opancerzony samochód. Jest to zarazem miernik temperatury nastrojów w północnych Włoszech i znak skłonności do załatwiania spraw na własną rękę. Włochy Badoglio, Bonomiego i ks. Humberta przejął ciężką próbę łączyć się z przemysłową, robotniczą Lombardią, z której plecami znajduje się obsadzona przez wojska sowieckie Austria. Aliantów czeka nowa faza trudności: odmówienie uznania rządowi utworzonemu w Wiedniu przez Sowietów, demonstracja armii francuskiej nad Renem, nie zgadzającej się

„Trzy stany a — jeden szlachcic”

(Dokończenie ze str. 1-jej)

Bo te słowa Staszka zapisały się nie tylko literą praw mieszczkańskich — stały się ciałem w dniu insurekcji warszawskiej, realizowały się w (jakże mieszczkańskich) ducha i ciała! Legionary Dąbrowskiego i aż po r. 1863 narzmiwaczy krwią ofiarną. Nie starczyło Polsce szlachecko-mieszczkańskiej rozmachu społecznego, by słowa te głębiej w masę ludu ponieść i nie starczyło rozmachu patriotycznego tej masie, do której reforma nie sięgnęła.

KONCEPCJE TARGOWICY

Wola walki o niepodległość i o wolne, twórcze życie podyktowała ustrojowe i społeczne punkty praw 3 Maja. Powiedzieliśmy, że dla ludzi Targowicy „wolność” szlachecka była jedyną racją istnienia Polski. Z jej zaniżeniem przedstawiali się cięć Polakami — „bom nie Polak, ale ofiara najokropniejszego despotyzmu”, jak pisał jeden z nich. Cóż dziwnego, że taki ex-Polak gotów był wręcz wzywać do zaboru „żadnej nie znajdując różnicy między niewolą a niewolą, którą by Polacy gnębieni byli albo pod własną monarchią, albo pod monarchią tych potencji, które by ich między sobą podzieliły...” (St. Boreński do Szczepnego Potockiego 15.X.1791). Przy takich poglądach za cnotę niemal obywatelską poczytały należyć przywódcom Targowicy „tylko” odwołanie do pomocy zewnętrznej, skoro „powinnością jest dobrego patrioty szukać dla ojczyzny wsparcia zagranicą, wzywać pomocy obcych bogów... kiedy zaginęły domowe” — jak głosiła suplika Targowiczów, tak bardzo (notabene) pobrzmiewająca tonem aktualnym.

Warto jednak przypomnieć także, że poza nienawiścią Targowicy do dzieła 3 Maja stał nie tylko egoizm stanowy, ale i pewna koncepcja polityki międzynarodowej. Koncepcją tą była wiara w możliwość istnienia Polski jedynie jako składowego elementu rosyjskiego systemu polityki międzynarodowej. Złudzeniu temu ulegała nie tylko Targowica. Niespodziewanie odnajdziemy je w półtora wieku później w koncepcjach historiograficznych Skałkowskiego. No i w dzisiejszych rachubach politycznych. Dlatego tak bardzo aktualnością pobrzmiewa rzadko w naszej literaturze cytowany plan podziąwoy Katarzyny z dn. 29 lipca 1791: „Polskę zamknęlibyśmy w takich granicach, że bez względu na działalność rządu jej, przez samą szepczność swoją przestałaby być niebezpieczną dla sąsiadów, wśród których stałaby się tylko przegrodą...”

Formę rządu Rzplitej pozostawiamy uznaniu naszych przyjacioł...”

Przywykliśmy patrzeć na Targowiczów jako na zdrajców. I trudno nam nazwać tragedią załamanie się ich rachub politycznych. Ale tragedia doprawdy staje się tu polityka jednego z budowniczych Polski 3-cio Majowej, Kołłataja. By ocalić resztę swego dzieła, by wytargować Polsce resztkę istnienia, gotów był sam przystąpić do Targowicy. Na próżno. Nienawistny Targowicy jako reprezentant niepodległej myśli polskiej, brutalnie przez Bużakowę odprchnięty, przekonał się zbyt późno, że nawet najwyższą ofiarą człowieka — ofiarą samego siebie wobec teraźniejszości i wyroku historii — osiągnąć nie zdołał nic i nic dla Polski uratować. Ale właśnie jego odnajdziemy później w dniach Kościuszkowskich, w zbrojnym porwywie narodu w obronie niepodległości.

Po cóż więc było pisać te prawa, które ocalenia przynieść już nie mogły? Polityka polska popełniła duży błąd, wspólny zarówno patriotom, jak i tragowiczom. Oba stronnictwa ludzi się możliwości oparcia na jednym imperializmie przeciw drugiemu, podczas gdy oba właśnie łączyła sprawa polska. Naiwna, mechanistyczna strategia dyplomacji polskiej znała wówczas tylko grę sił — nie umiała wnieść się do konstrukcji organicznych. Błąd ten popełniła nie tylko polityka polska. Toż właśnie z poselstwa francuskiego w Berlinie wyszedł w r. 1791 ów projekt podziąwoy Polski, który miał Prusy od horyzontów Renu odwracać. Rewolucja francuska zaczynała w polityce międzynarodowej od „Monachium”, by w r. 1792 milcząco uznać rozwiązanie, któremu podobne w 130 lat potem oznaczano imieniem polityka angielskiego.

Wisła miała kryć Ren, jak w 130 lat później Bug — zatokę Perską. Sprawa polska, jak wielokrotnie potem, miała tu być jedynie funkcją potrzeb obcych.

Ani politycy polscy, ani Zachód rewolucyjny, nie potrafili w wieku XVIII-tym przeciwstawić strategii geopolitycznej (jakbyśmy to dziś nazwali) organicznego systemu wspólnoty wolności, świata, w którym Polska może istnieć. Jedynego świata, w którym Polska może istnieć. Polska budowała go tylko na wewnątrz. Zachód sumował tylko siły, zamiast idei. Jedynymi, którzy w pełnej mierze doceniali niebezpieczeństwo dla nich się idei, byli zaborcy ziem polskich. Józef Nowak

na ustąpienie z zajętych terenów, zapowiadają upór, z jakim poszczególne strony będą obstawiać przy swych zdobyczach.

Prawo i siła

W chwili, gdy pełno pogłoszek o rozejmie, gdy depesze przewidywały śmierć Hitlera, Narody Zjednoczone rozpoczęły w San Francisco prolog do konferencji pokojowej. Nie towarzyszą mu dobre wróżby. Targ w sprawie głosów, sprawa polska, kwestia Argentyny, ambicje Molotowa, żądającego dla Rosji przewodnictwa obrad, zapowiadają trudny pokój po ustaniu trudów wojny.

San Francisco stało niespodzianką przed wielkim zadaniem i wielką odpowiedzialnością. Ubył jeden z głośniejszych inicjatorów spotkania, Prezydent Roosevelt, ponadto zaś klęska Niemiec wywołała — choć brzmiała to paradoksalnie — nieco zamieszania swą szybkością.

Ofensywa na zachodzie rozpoczęła się 20 marca — w ciągu miesiąca Rzesza Niemiecka przestała istnieć. Tymczasem końca wojny spodziewano się na czerwiec i sądono, że San Francisco zdoła jeszcze ustalić swe międzynarodowe projekty w atmosferze wolnej od nowych, powojennych napięć. Stało się inaczej. Choć czynniki oficjalne usilnie podkreślają ograniczone zadania obrad w Ameryce, w istocie w San Francisco, za kulisami, odbywają się już rozmowy głównych mocarstw, wywołane upadkiem Trzeciej Rzeszy. W ten sposób Zjednoczone Narody zostały zaproszone do stworzenia instrumentu zachowującego pokój, którego warunki właśnie się omawiają za plecami Zgromadzenia.

Symboliem rzeczywistości politycznej, wynikającej z obecnej wojny, jest puste miejsce Polski. Naród, który pierwszy walczył z Niemcami, który ma niewątpliwie rekord długości nieprzerwanej walki — i niestety, także i rekord strat (obliczanych procentowo), którego rząd opiera się na nieustającej ciążności prawnej — nie znalazł dostatecznego poparcia, by swego legalnego reprezentanta widzieć wśród Zjednoczonych Narodów. Puste miejsce ma jedną tylko dobrą stronę: oto pozostała jeszcze możliwość, że będzie kiedyś zajęte przez swego prawnego właściciela. Ponadto zaś demonstruje jaskrawie i mylnie i bezskuteczność kompromisu jałtańskiego, przekreślonego już dziś przez fakty dokonane.

Premier Churchill, broniąc decyzji krymskich, oświadczył w Izbie Gmin: „Niepodległość, niezależność, integralność i suwerenność Polski ważniejsze są niż obecne granice”. Decyzja powołania nowego rządu, złożonego z przedstawicieli Kraju, demokracji polskiej zagranicą i zespołu Lublina, miała ocalić, lub przynajmniej dać pozor ocalenia temu, co Churchill dialektycznie odłączył od zagadnienia granic i uznał za ważniejsze. Praktyka wykazała, że interpretacja postanowień krymskich jest niesłychanie rozbieżna i że nie mają one oparcia w intencjach rosyjskich.

Rząd rosyjski poszedł drogą faktów dokonanych, przesadzających zarówno losy polskiej propozycji, jak i losy propozycji krymskiej. Wywołanie i przesiedlanie ludności na ziemiach, gdzie powinien odbyć się plebiscyt, z góry go utrudnia, jeśli nie uniemożliwia. Granice z Niemcami, ustalając Sowieci i Lublin, Lublin aprobując podział Prus Wschodnich, Lublin podpisując pakt z Związkiem Sowieckim w przeddzień rozmów trzech ministrów spraw zagranicznych. Najpoważniejszy z komentarzy angielskich dziwi się nadziejom Stalina, iż pakt będzie radośnie powitany przez demokrację zachodnią. Nie zawiera się układu na lat 20 z rządem, który jutro ma przestać istnieć. Nie powołuje się w rokowaniach na trudności polityczne ze strony ludzi, którzy są w istocie podporządkowani Sowiетom. Molotow, w oświadczeniu, złożonym już w San Francisco, podkreślił, że nie nie zdoła uczynić bez zgody samych Polaków, co trzeba czytać: bez zgody Lublina. Przypomina się prawie epizod z bałkowskiej „Eugenii Grandet”: stary Gnadet, chciwy lichwiarz, gdy nie mógł dobić targu, powoływał się na sprzeciw swojej żony, odrzucającej interes. Następne zdanie Bałzaka brzmi: „żona jego, która sprawdziła do stanu kompletnego niewolnictwa...” Wreszcie od kilku tygodni nie słychać nic o delegacji polskiego Ruchu Podziemnego, jaka wyjechała na zaproszenie rosyjskie. Tak duża nieobecność delegatów świadczy zapewne o opozycji Kraju wobec warunków sowieckich i nie zdradza powodzenia rokowań. Tajemnica otaczająca tę sprawę jest niezrozumiała. Dziś, delegaci powinni albo od dawna znaleźć się — zgodnie z obietnicą sowiecką — w Londynie, lub powrócić do Kraju. Świadomość, że przedstawiciel jednego z Narodów Zjednoczonych mogą na długi czas zniknąć bez wieści w państwie drugiego sygnatariusza Karty Zjednoczonych Narodów, nie przyczynia się do polepszenia nastrojów w San Francisco.

Decyzje krymskie zaspokoili terytorialne żądania sowieckie i stworzyły polityczną równowagę rządu legalnego i nielegalnego Anglia i Ameryka nie były w Krymie w łatwej sytuacji. Odmowa wobec postulatów sowieckich grozi zawsze naruszeniem jednolitości systemu sojuszników, jaki ma zapewnić światu przyszły pokój. Gdy pewna ze stron stała żąda, druga musi ustępować, jeżeli nie chce powiedzieć kategorycznego „nie”. Trzeba pamiętać, że Polska nie leży w strefie bezpośrednich interesów — tak to przy najmniej widzą zainteresowani — brytyjskich lub amerykańskich i często od sprawy polskiej bywa ważniejszą Srodkowy Wschód, Pacyfik, Grecja, Persja, czy Sinkiang.

Leży natomiast Polska wyraźnie w sferze interesów prawa, tym samym musi obchodzić wszystkich, dla których prawo, a nie siła, są ostoją pokoju i bezpieczeństwa. Głosowanie w San Francisco, odrzucając propozycję sowiecką powołania Lublina na konferencję, dało temu jaskrawy wyraz. Dwa wielkie mocarstwa, szukające z Sowiетami trwałego kompromisu, poszły i musiały pójść za ogólną wolą; przeciwne postępowanie naruszyłoby ich przewodnictwo w świecie demokratycznym, wnosząc na miejsce przyjętych zobowiązań dalszą dowolność decyzji, stwarzających siła.

Oddziały polskie walczyły i walczyć będą do ostatniego dnia wojny z wiarą, że słusność sprawy polskiej zwycięży. Nasz zachodni sprzymierzeńcy zdają się uznawać Krym za kres ustępstw — jeżeli zaś i ów kompromis załamie się, nadejdzie czas odwrotu od dotychczasowych rozwiązań i szukania nowych. 29.IV.45.

Z PRASY OBCEJ

Puste miejsce

Znany socjalista belgijski, Camille Huysmans, przewodniczący Drugiej Międzynarodówki *) zamieszcza w *Time and Tide* artykuł pt. „Niebezpieczeństwo pustego krzesła”, poruszając drażliwy temat nieobecności Polski w San Francisco.

„Deklaracja krymska — pisze Huysmans — została zatwierdzona niemal jednomyślnym głosowaniem w Izbie Gmin. Niewielka liczba posłów miała zastrzeżenia i wyraziła je powstrzymaniem się od głosowania. Mając obecnie tę decyzję poza sobą, musimy przekonać się, czy mniejszość miała wówczas rację, czy też jej nie miała. Jeżeli można udowodnić, że jednak jej nie miała, wówczas świat może być bezpieczny podczas długiego okresu pokoju. Jeżeli nie, wówczas los polskiego narodu obciąża będzie sumienia nie tylko członków Izby Gmin, ale sumienie całego demokratycznie myślącego świata. Czy możemy pozwolić na popełnienie tego błędu? Twierdzą stanowczo, że nie.”

„Nie chcę rozstrząsać sprawy granic. Wiem, że można coś powiedzieć w obronie rosyjskiego punktu widzenia. Z drugiej strony, jeżeli miałby to być pokój, prawdziwy pokój, taki jakiego pragniemy, wówczas każdy Europejczyk oczekiwałby znacznie szlachetniejszego uszanowania uczuć bohaterów polskiego narodu, który wszyscy podziwiamy. Lwów dawał właśnie sposobność, aby to okazać. Stalin sam uznał te uczucia w swoich rozmowach ze zmarłym generałem Sikorskim. Dlaczego więc stał się bezwzględny, właśnie on, o którym nam powiedziano, że jest tak wielkim realistą?”

„Teraz co do sprawy niepodległości. Tutaj mamy nie tylko słowa, ale i zobowiązania. Churchill starannie unikał dyskusowania tego, co dzieje się obecnie w Polsce. Prawdopodobnie nie chciał on przyjmować żadnej odpowiedzialności za to, co zdarzyło się przed decyzją krymską. Musiał na to przynajmniej coś. Wymagał tego cel nieco wyższy a ponadto Wielka Brytania żadną miarą nie ponosiła za to wydarzenia bezpośredniej odpowiedzialności. Teraz jednak, po Krymie, Brytania ponosi odpowiedzialność. Nie byłoby to żadną usługą dla światowej sprawy demokracji, jeżeli nie powiedziałabym szczerze, że małe państwa na kontynencie nie są zbyt zachwycane traktowaniem Polski. Nawet zaoferowanie obywatelstwa tym, którzy walczyli za dobrą sprawę, jest tylko pustym gestem w porównaniu z naiwymi ofiarami, jakie ci ludzie ponieśli. Ale nawet i to jest jeszcze niewiele w porównaniu z ofiarą, jaką uczynili Polacy jako naród, stawiając wszystko na kartę.

*) Camille Huysmans, przewodniczący Drugiej Międzynarodówki, był burmistrzem Antwerpii i reprezentował swoje miasto jako poseł w parlamencie. Podczas swej kariery politycznej pełnił funkcje przewodniczącego parlamentu belgijskiego i ministra wychowania. Był również redaktorem znanego dziennika socjalistycznego w Antwerpii „De Volksgazet”. W świecie socjalistycznym Huysmans cieszył się zawsze dużym autorytetem.

Problem niemiecki

The Economist publikuje cykl bardzo znamiennych artykułów na temat „Problemu niemieckiego”. Bronią one tezy, że — jeśli pokój ma być trwały — zachodnie granice Rzeszy Niemieckiej muszą właściwie pozostać nienaruszone. Dopuszczalne jest natomiast uszczuplenie granic Rzeszy na wschodzie — na rzecz Polski. Poniżej podajemy w obszernym streszczeniu treści z cyklu tych artykułów, zamieszczonego w numerze *The Economist* z dnia 24 marca 1945 r., omawiający projekt stworzenia niepodległej Nadrenii.

Oddzielenie Nadrenii od Niemiec oznaczałoby odcięcie jej mieszkańców od wielkiego rynku ekonomicznego i pozbawienie ich prawa uczestnictwa w potężnej wspólnocie politycznej. Jeśli plan taki ma zostać przez nich zaaprobowany — nawet jeśli to ma być bierna jedynie aproba — trzeba im wcześniej czy później zaoferować pewne, kompensujące stratę, korzyści polityczne i ekonomiczne — nowe zaplecze gospodarcze o wartości nie mniejszej niż dawny rynek niemiecki, oraz wolność polityczną. Jeśli nie wykona się żadnego z tych warunków, mieszkańcy Nadrenii będą tęsknić spoglądając w kierunku wschodu i nie zaniedbując niczego w pracy nad unicestwieniem narzuconego im przez Sprzymierzonych ustroju.

Jaki to sposób włączenia Nadrenii do Zachodniej Europy ma sprawić, że mieszkańcy jej „stopniowo zwrócą swą myśl i gospodarkę w kierunku Zachodu”, jak tego domaga się w niedawnej wypowiedzi jeden z francuskich publicystów? Przede wszystkim musiałby on spełnić dwa warunki: zbudować dostatecznie mocne rusztowanie gospodarcze, by zapewnić dobrobyt materialny i zagwarantować autonomię polityczną wystarczającą, by zaspokoić uprawnione aspiracje wykształconych mieszkańców Nadrenii. Oczywiście więc, od czasu do czasu ponawiane we francuskiej prasie projekty, by Nadrenia została włączona do Francji, nie mają — w świetle tych uwag — wiele szans powodzenia. Gospodarka francuska oparta o 40-milionową ludność nie będzie stanowiła dostatecznej kompensaty za utracę Rzesze. Nie wydaje się również prawdopodobne, by przemysł i kapitał francuski zgodził się na dominujące znaczenie przemysłu nadreńskiego. Nie jest również do pomyślenia, by rząd francuski zezwolił na największą koncentrację przemysłu wojennego w zagrożonym rejonie nadgranicznym. Niewątpliwie włączenie do Francji oznaczałoby upadek i zubożenie Nadrenii i spowodowałoby tym samym, że „myśli” mieszkańców Nadrenii zwracałyby się nieustannie w kierunku wschodu. Mało jest poza tym prawdopodobne, by zachodni sprzymierzeńcy Francji zgodzili się na wyłączne panowanie Francji w Nadrenii.

Kierując się przesłankami gospodarczymi, można by było uzasadnić projekt włączenia Nadrenii do większej wspólnoty ekonomicznej na zachodzie. Jeśli by Holandia, Belgia i Francja stworzyły unię celną, powstały w ten sposób zjednoczony rynek operujący na 73-milionową ludność. Gdyby Wielka Brytania miała przystąpić do tej unii, cyfra ta sięgałaby 120 milionów.

Nie zapominajmy: nie wydali oni ani Quislingów, ani kolaborantów, jak to stało się praktycznie udziałem wszystkich innych narodów pod okupacją. Ta rzecz, oprócz ich bohaterstwa, także jest czymś.

„Wielka Brytania i Stany Zjednoczone przyjęły teraz bezpośrednio odpowiedzialność. Co to za soba soba? Gwarancję? Przyrzeczenie? Traktat? Czymkolwiek może to być, znaczy to z pewnością, że obydwa kraje muszą się przekonać, iż ich zaufanie do słowa Rosji było usprawiedliwione. To z kolei znaczy, że Rosja, która przyjęła pełną odpowiedzialność za Lublin, musi przywołać do porządku swoich własnych ludzi, którzy są z tym związani, zwłaszcza zaś „Polaków lubelskich”.

„Jeżeli okaże się prawdą, że 20 lutego została aresztowana żona premiera Arciszewskiego (okazało się — przyp. red.), wówczas każdy będzie mógł kwestionować dobrą wolę czynników znajdujących się na miejscu w Polsce, do działania zgodnie z duchem deklaracji krymskiej. Jeżeli prawdą jest, że dokonywa się wielkiej ilości aresztów, deportacji i egzekucji już po oświadczeniu krymskim, wówczas znowu będzie powód do wątpliwości o dobrej woli jednego z sygnatariuszy deklaracji.”

W dalszym ciągu swego artykułu Huysmans pisze: „Nie możemy pozwolić, ażeby przewlekła się sprawa niepodległości Polski. Musimy działać. Pamiętajmy, kiedy Lenin był chorąży polskiej niepodległości i kiedy mówił tak przekonująco o wolności tego narodu. Słyszę jeszcze słowa chwały wypowiedziane przez Churchilla i Roosevelta wobec czynów Polski, jej heroizmu i ofiarności. Te słowa wołają o czyn.”

„Dlatego też proponuję: 1) Churchill powinien zaprosić do siebie premiera polskiego, Arciszewskiego, dla omówienia sytuacji Arciszewski ma za sobą dość usług oddanych ludzkości, nawet gdyby nie był premierem Polski. Sorawa wymaga cierpliwości. Jest wiele rzeczy bolesnych, ale nie można wątpić — słyszy się to, gdziekolwiek się słucha Polaków, którzy są na wolnym świecie — że Arciszewski posiada poparcie szerokiej większości wolnych Polaków. 2) Ażeby Churchill i prezydent Stanów Zjednoczonych zwrócili się do marszałka Stalina o wstrzymanie wszelkich przesławań i deportacji i powściągnięcie „Lubliń”. Rosjanie mają możność uczynienia tego. 3) Trzej ministrowie spraw zagranicznych, Francji, Wielkiej Brytanii i Rosji, oraz amerykański sekretarz stanu, powinni spotkać się natychmiast, ażeby rozstrząsać kwestię niepodległości w taki sposób, by zniknęły wszelkie dalsze możliwości wojny domowej lub zbrojnego panowania w Polsce.”

„Jeżeli to zostanie zrobione — i sądzę, że jest to najmniejsza rzecz, jaką Zjednoczone Narody mogą ofiarować swojemu pierwszemu aliantowi — wówczas w San Francisco wszystkie miejsca będą zajęte i nikt nie będzie musiał ponosić wstydu za puste krzesło Polski. Świat demokratyczny oczekuje „że demokratyczny meżowie stanu nie uchyla się od rozwiązania tego zagadnienia.”

Stworzony w ten sposób rejon gospodarczy odpowiadałby mniej więcej swym zasięgiem i znaczeniem Stanom Zjednoczonym Ameryki.

Lecz ktoś może twierdzić, że tego rodzaju gigantyczny projekt gospodarczy jest poważnie brany pod uwagę? Nawet najgorliwsi zwolennicy zjednoczenia zachodnio-europejskiego pełną unie uważają za cel ostateczny i bardzo odległy.

Ostateczny wniosek — pisze *The Economist* — nasuwa się sam przez się z powyższych wywodów: warunek, przy którym mogłaby istnieć niepodległa Nadrenia — stworzenie z zachodniej Europy wspólnoty politycznej i ekonomicznej — nie ma wiele szans urzeczywistnienia i nie jest nawet zbyt poważnie rozważany przez Sprzymierzonych. Oczywiście można niepodległą Nadrenię stworzyć siłą i siłą przy życiu utrzymywać, lecz trzeba pamiętać, że, jakkolwiek rozwiązanie problemu niemieckiego zostanie postanowione, wprowadzony system musi być tego rodzaju, by pewnego dnia zdolny był do utrzymania się przy życiu bez użycia siły.

Toteż *The Economist* pozostaje przy poglądzie, że trwała polityka pokojowa winna opierać się w zasadzie na pozostawieniu Rzeszy jej dotychczasowych granic. Oczywiście nie ma powodu, by pogląd ten przerodził się w dogmat o nienaruszalności Rzeszy. Oddanie Śląska Polsce nie konieczne musiałoby stanąć na przeszkodzie utrzymaniu trwałego pokoju. Rejon ten jest mniej ważny gospodarczo niż Nadrenia, ludność jego ma charakter mieszany i bynajmniej nie pragnęłaby jednomyślnie powrotu do Rzeszy. Nikt nie mówi o stworzeniu ze Śląska niezależnej jednostki: będzie on wchłonięty przez gospodarkę polską, która sama z kolei będzie się coraz bardziej zwracać w kierunku wielkiego i jednolitego rynku Rosji Sowieckiej. Jest również prawdopodobne, choć bardziej wątpliwe, że i Prusy Wschodnie mogłyby zostać na stałe odłączone od Rzeszy pod warunkiem przeprowadzania wymiany ludności.

Na zachodzie podstawą logiczną i konsekwentną polityki w stosunku do Niemiec może być jedynie nienaruszenie granicy Niemiec i utrzymanie jednolitej Rzeszy. Na papierze można by znaleźć inne rozwiązania — bardziej „pozytywne”. Wszystkie te jednak rozwiązania mają jedną wspólną cechę: wszystkie one nie chcą przyznać Niemcom suwerenności w ich państwie o charakterze narodowościowym. I muszą one być uważane za nierealne, ponieważ my sami nie chcemy ich urzeczywistnić. Niepodległa Nadrenia byłaby do pomyślenia jako członek związku państw. Ale inne państwa nie chcą tego związku, a jedno państwo nie może stworzyć związku. Naród niemiecki nie może zrzec się swej suwerenności, jeżeli we wszystkich innych państwach panuje zasada narodowościowa. W silnym polu magnetycznym Europy prawdą, który przebiega przez dzielnicę państw nie może ominąć dwudziestego. Nie możemy pozostać nacjonalistami u siebie w domu a antynacjonalistami w stosunku do Niemiec. Wina, że dla problemu niemieckiego znajdujemy jedynie „negatywne” rozwiązanie — pono-

simy sami. Wina nasza polega na tym, że zachodnie demokracje nie posiadają żadnych nowych idei w zakresie stosunków pomiędzy państwami narodowościowymi.

Pogląd ten bynajmniej nie oznacza, że Niemcy mają wyjść z wojny bezkarnie. *The Economist* zawsze głosił konieczność ustanowienia jak najdalej idącego nadzoru nad Niemcami. Niemcy

Wizyta w Sowietach

Znany członek parlamentu angielskiego, Cmdr. Stephen King-Hall, odbył podróż po Rosji, z której wyniesione wrażenia opisuje w magazynie *Leader*. Na wstępie swego felietonu, który podajemy w obszernym streszczeniu, autor podkreśla wielkie zainteresowanie Rosją, jakie panuje wśród Anglików. Prawie na każdym kroku spotyka się z pytaniem, jak życie w Rosji wygląda naprawdę. Jeżeli Anglia istotnie nie jest dostatecznie poinformowana o Rosji, lub też opiera się na informacjach sprzed dziesięciu lat, tym bardziej Rosja wie bardzo mało o Anglikach i ich obyczajach. Jednakże „lepiej jest być zupełnym ignorantem w sprawach rosyjskich — pisze King-Hall — niż myśleć o Rosji dzisiejszej i jutrzejszej w kategoriach Rosji przedwojennej. Historia szybko toczy się w Rosji w obecnych czasach. Istotny sens, trwałość i wartość przymierza anglosowieckiego zależy głównie od rozwoju prawdziwej przyjaźni i prawdziwego wzajemnego zrozumienia między Brytyjczykami i Rosjanami. To zaś zrozumienie może się zrealizować tylko wtedy, jeżeli każda ze stron będzie wiedziała prawdę o drugiej.”

Tu King-Hall przechodzi do opisu stosunków rosyjskich: „Jedną z dobrych rzeczy w Rosji jest, że szef państwa jest człowiekiem dostatecznej miary, ażeby zrozumieć potrzebę wzajemnego poznania; jedną z złych rzeczy jest to, iż marsz. Stalin jest niemal że jedynym człowiekiem w Rosji, który może bezpiecznie stwierdzić, iż w Sowietach są rzeczy zarówno dobre jak złe. Wydać mi się, że będzie zgodne z prawdą, jeżeli powiem, iż rząd jego Królewskiej Mości nie dąży do ograniczania w żadnej mierze wysiłków obywatela brytyjskiego pragnącego uzyskać informacje o Rosji. W Związku Sowieckim — rząd wykonywał bardzo ścisłą kontrolę nad wszystkimi źródłami informacji dostępnymi dla obywatela.”

Zaznacza King-Hall, że podczas swej podróży po Rosji miał możność swobodnego rozmawiania z każdym człowiekiem, który go interesował. W ten sposób autor zetknął się ze studentami rosyjskimi w Moskwie, w Swierdłowsku i w Baku. Spotykał kobiety kształcące się na inżynierów i znające język angielski. Zwiędział wojskowe obywateli, rosyjskie statki wojenne, rozmawiał z chłopami na targach, przy czym „mój interpreter was British” (tłumacz był Anglikiem).

Na podstawie uczynionych obserwacji, uważa King-Hall, że jeżeli komunizm ma oznaczać Trzeci Międzynarodówkę i rewolucję światową, to Rosja jest najmniej komunistycznym państwem na świecie, wspomniany zaś wyżej typ komunizmu stanowi w Sowietach zdradę stanu. Społeczeństwo rosyjskie jest wyraźnym społeczeństwem klasowym, przy czym autor wylicza następujące grupy: a) oficerowie Armii Czerwonej, szczególnie zaś wyżsi dowódcy, b) urzędnicy rządu, c) dyktatorowie fabryk i inżynierowie, d) urzędnicy partii komunistycznej, e) artyści, kompozytorzy, autorzy, muzycy, filmowcy itp., f) bogaci chłopcy i robotnicy, stachanowcy. Poziom życia zależy od przynależności jednostki do jednej z powyższych klas, których zresztą liczba wkrótce powiększy się o grupę prawosławnego kleru, na co wskazuje choćby nadawanie przez wszystkie sowieckie stacje radiowe renowacji z uroczystości konsekracji arcybiskupa Moskwy.

„Partia komunistyczna liczy około 6 milionów członków. Jest to jedyne stowarzyszenie polityczne, jakie egzystuje. Stanowi ona żelazny szkielet administracji rosyjskiej. Ze względów historycznych nazywa się ją nadal partią komunistyczną, prawdziwa jednak jej nazwa powinna brzmieć *Rosyjska partia narodowa* lub *Wschodnio-rosyjska narodowo-patriotyczna partia*.”

„Pod względem ekonomicznym Rosja dzisiaj jest społeczeństwem rządzoną przez kapita-

winny zostać całkowicie i na stałe rozbrojone. Jest to pierwszy i nieodzowny warunek zlikwidowania „problemu niemieckiego”.

Na artykule *The Economist* trzeba spojrzeć poprzez katarygoryczne żądanie Francji przesunięcia granic na wschód oraz poprzez plany Sowietów oparcia granicy z Niemcami za Odrze.

lizm państwowy równoznaczny z monopolem państwa. Nie ma „czarnego rynku”, ponieważ jest Czerwony Rynek. Rozumiem przez to, że państwo dysponuje wszystkim i cenniejszymi z tego, co nazwalibyśmy czarnym rynkiem, tj. rynkiem, gdzie można dostać towary racjonowane po cenach nawet 50-krotnie wyższych od cen kartkowych.”

W dalszych wywodach Hall przypomina, że Rosjanie są istotami ludzkimi podległymi tym samym reakcjom, co każdy inny człowiek. Wprowadza jednak poprawkę mówiąc: „są oni jednak ludźmi o pewnych charakterystycznych cechach rasowych i stworzonych przez ich historię, ponadto żyją w wielkim napięciu patriotycznego zapału. Marszałek Stalin, będąc niezawodnie przywódcą Związku Sowieckiego, jest przede wszystkim i wyłącznie zainteresowany Związkiem Sowieckim. Dąży do uczynienia z niego wielkiego mocarstwa w jak największym stopniu. Polityka jego skierowana jest wyraźnie ku temu celowi.”

Dla osiągnięcia owego celu Stalin żąda bezpieczeństwa przeciw wszelkiemu atakowi z zewnątrz oraz społeczeństwa patriotycznego, zdyscyplinowanego, działającego planowo i zjednoczonego w popieraniu nacjonalistycznej polityki. Stalin — pisze Hall — „będzie nalegał na utworzenie przyjaznych rządów we wszystkich państwach sąsiadujących z Rosją w tym stopniu, w jakim nam zależało na przyjaznym rządzie w Egipcie. Będzie popierał zbiorowe bezpieczeństwo, ale równocześnie będzie pilnował, ażeby Rosja pozostała silna w wypadku jeżeli system ten zawiedzie, lub powstanie przymierze przeciw Sowietom.”

„W stosunkach wewnętrznych — przewiduje autor — Stalin będzie prowadził nadal politykę rozwijania naturalnego rosyjskiego patriotyzmu i zwalczał wszelką tendencję ku przedkładaniu internacjonalizmu ponad nacjonalizm. Będzie nadal przy pomocy „wszechpotężnej, wszystko widzącej, wszechwładzącej partii kontrolował wszystkie wiadomości, propagandę i rozszerzanie się idei panujących we współczesnym świecie.”

Kreśląc obraz przyszłości, Hall twierdzi, że jeżeli zadanie odbudowy Rosji ma być dokonane w ciągu dziesięciu lat, wówczas nie będzie czasu na debaty publiczne, na dyskusje prasowe, na liźwalczał wszelką tendencję przedkładania interesu socjalistycznego państwa wymaga, ażeby... będzie dominował nad wszystkim Prasa i radio, film i opera, niestrudzeni członkowie partii, rozdawanie nagród, strach przed obozami pracy, egzaltacja patriotyczna, mistyka religii (to już nadchodzi), wszystkie środki moralne i materialne, jakie są i będą do dyspozycji Kremla. Będą oddziaływać na myśli i ciała dwustu milionów obywateli Związku w duchu zachowania i zwiększania potęgi Sowietów.

Ostatnia część artykułu King-Halla zawiera wnioski: „Kończąc, podejmując najtrudniejsze zagadnienie ze wszystkich. Jeżeli powyższy zarys współczesnej Rosji jest dokładny, czy jest to obraz demokracji? Według naszej miary i naszych pojęć, odpowiedź musi być kategoryczna „nie”. Czy ma to znaczyć, że masa ludu rosyjskiego nie sprzyja temu wszystkiemu i wolałaby to zmienić? Odpowiadam znowu z naciskiem: „nie”.

„W ciągu dziesięciu, być może pięciu lat, kryzys odbudowy będzie skończony. Co dalej? Czekaj napisał: „Życie nie zgadza się z filozofią: nie ma szczęścia bez odpoczynku i tylko niepożyteczne sprawa przyjemność”. Czy naród rosyjski będzie utrzymywać pokój, poświęcenie, ślepe posłuszeństwo władzy? W r. 1930 chłopcy zmusili Stalina do cofnięcia się, kiedy próbował ich skolektywizować zbyt szybko. Być może, że w roku 1955 będziemy oglądać wielki kryzys w Rosji i otrzymamy odpowiedź na pytanie, czy popularna dyktatura może się przemienić w równie popularną demokrację?”

Odbudowa Rosji

The Economist zamieścił w ubiegłym miesiącu obszerny artykuł omawiający zagadnienie odbudowy Rosji. Autor artykułu zwraca przede wszystkim uwagę na trudności należytę oceny sytuacji gospodarczej Rosji w czwartym roku rosyjsko-niemieckiej wojny. Główna trudność — zdaniem jego — polega na sprzecznościach tkwiących u samych podstaw gospodarki rosyjskiej. Jeśli się jej przyjrzyć w świetle przeróżnych opisów zniszczenia na terenach wyzwolonych, ujrzemy się ją w niezwykle ciennych barwach. Natomiast z oceny zwycięstw sowieckich można zbyt pochopnie wyciągnąć nadmiernie uproszczone wnioski o „niewyczerpanych” rezerwach ekonomicznych Rosji i z łatwością przyjdzie wtedy przeoczyć fakt, że wojna zadała organizmowi gospodarczemu Rosji bardzo głębokie rany.

Poza linią frontu rosyjskiego znajdują się olbrzymie obszary „spalonej” ziemi. Zniszczenie to przybrało ogromne rozmiary, choć oczywiście stopień tego zniszczenia nie we wszystkich prowincjach i miastach jest jednakowy. Urzędowe obliczenia określają przestrzeń zniszczonych terenów na 700 mil kwadratowych. Kilkadziesiąt miast Ukrainy i Białorusi zostało zniszczonych aż „do fundamentów”. W wielu miastach z tysięcy domów pozostało zaledwie kilkadziesiąt lub kilkaset. W Mińsku, Smoleńsku i Wiaźnie do tej pory nie podobna jest mieszkać. Olbrzymiemi zniszczeniu uległy miasta nad Dnieprzem, w dorzeczu Donu i na wybrzeżach Morza Azowskiego. Wielki odsetek ludności zarówno miejskiej jak wiejskiej żyje w warunkach niemal czasów jaskiniowych. Ludzie mieszkają w jaskiniach i lepiankach.

Kilka cyfr świadczyć może o rozmiarach zniszczenia. Gdy Niemcy opuszczali Donbas, kołalnie węgla zostały zalane 350 milionami metrów sześciennych wody. W ciągu roku po wyzwoleniu Donbasu zdolano wypompać 60 milionów metrów. Brak maszyn, w szczególności pomp, uniemożliwił szybsze wykonanie pracy. Początkowo żywność nadzieje, że z końcem roku 1944 produkcja węgla doprowadzona będzie do cyfr stanowiącej jedną trzecią produkcji przedwojennej; nadzieja ta nie została urzeczywistniona.

Lecz opowieść o zniszczeniu, którą snuć można bez końca, daje tylko połowiczny obraz rzeczywistości. Przyjrzyj się jej trzeba w oświetleniu rozwoju przemysłowego i ekspansji gospodarczej wschodnich polaci Rosji. W czasie wojny przeniesiono tam z zachodu olbrzymie fabryki i skoncentrowano tam wielkie kapitały. Rozwój przemysłu we wschodniej Rosji był tak wielki, że ciężki przemysł rosyjski osiągnął przedwojenny poziom wytwórczości, a w pewnych wypadkach nawet go przekroczył.

Rozumując czysto teoretycznie można by wywodzić, że Rosja zdolna jest do produkcji na poziomie przedwojennym. Rozumowanie takie opierałoby się jednakowoż na błędnym przypuszczeniu, że w czasie pokoju Rosja mogłaby produkować narzędzia wytwórczości w tym samym zakresie, jak w czasie wojny. W czasie pokoju jednakowoż olbrzymia część produkcji musi być poświęcona zaspokojeniu potrzeb konsumenta. Tym należy tłumaczyć, dlaczego Rosji tak niesłychanie zależy na uzyskaniu odszkodowań od Niemiec i kredytów od Sprzymierzonych. Bezwzględne poświęcenie interesów konsumenta dyktatorowi planu wytwórczego może być przez pewien czas jeszcze stosowane siłą bezwładności. Lecz istnieją pewne czyste fizyczne granice dla polityki malej konsumpcji, ponieważ których Rosja nie może zastąpić bez wielkiego, politycznego i socjalnego ryzyka.

W ostatecznej konkluzji autor artykułu dochodzi do wniosku, że Rosja bezkarnie nie może ponieść tego ryzyka w takim stopniu, jak ponosiła przed wojną.

Z powodu nawału materiału bieżącego, dalszy ciąg powieści M. Kuncewiczowej „Zmowa nieobecnych” zamieszczamy w następnym numerze.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.